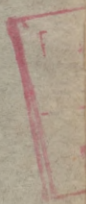




Marta

Sturckea



Państwowe Seminarium Naucz. Męskie
Im. St. Żeromskiego w Kielcach
HENRYK IBSEN.
Dz. Inw. 4 Nr. 116

ROSMERSHOLM

dramat w 4 aktach.

Przełożył

K. R.

~~W~~
~~383~~
~~Nr.~~

W Złoczowie,
nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla
1898.

301353

OSOBY:

Jan Rosmer, właściciel Rosmersholmu, dawniej proboszcz.

Rebeka West, zamieszkała u Jana Rosmera.

Rektor Kroll, szwagier Rośmera.

Ulryk Brendel.

Piotr Mortensgard.

Pani Helseth, gospodyni w Rosmersholmie.

Rzecz dzieje się w Rosmersholmie, starej szlacheckiej siedzibie, w pobliżu małego miasteczka w zachodniej Norwegii.

581



132 928

Akt I.

Scena przedstawia obszerny, staroświecki, wygodnie urządzony pokój w Rosmersholmie.

Na prawo przy ścianie stoi piec przybrany zielenią i kwiatami. Dalej w tyle drzwi. W tylnej ścianie drzwi podwójne prowadzące do przedpokoju. Po lewej stronie okno, przed niem zaś etażerka z wazonami kwiatów. Koło pieca stół, sofa i fotele. W około na ścianach nowsze i stare portrety kaznodziejów, oficerów i urzędników w mundurach. Okno otwarte. Również przedpokój i zewnętrzne drzwi domu. Widać wielkie, stare drzewa alei prowadzącej do domu. Wieczór letni po zachodzie słońca.

Rebeka West siedzi na wygodnym fotelu i dzierżga szydełkiem wielki biały szal wełniany, prawie już dokończony. Od czasu do czasu patrzy badającym wzrokiem przez okno. Z prawej strony wchodzi pani Helseth.

P. Helseth. Proszę pani, zdaje mi się, że już czas, bym powoli zabrała się do nakrywania stołu do wieczery?

Rebeka. Tak, zechciej się pani tem zająć, pastor lada chwila nadejdzie.

P. Helseth. Czy nie ma przeciągu w miejscu, na którem pani siedzi?

Rebeka. Owszem, jest niewielki. Może pani będzie tak dobrą zamknąć drzwi i okna.

Pani Helseth zamyka drzwi od przedpokoju ; potem zbliża się do okna.

P. Helseth wyglądając przez okno. Czy to nie pastor stamtąd nadchodzi?

Rebeka prędko. Skąd? Wstaje. Tak, to on. Sta-
je za portyerą okna. Niech się pani na bok usunie.
Nie powinien nas widzieć.

P. Helseth na środku pokoju. Otóż naprawdę,
niech pani tylko pomyśli, pastor zaczyna znowu
chodzić po drodze prowadzącej do młyna.

Rebeka. Tą samą drogą szedł także przed-
wczoraj. Wygląda przez okno, ukrywając się między
portyerą a ramą okna. Teraz jednak trzeba zobaczyć.

P. Helseth. Czy odważył się wejść na kładkę?

Rebeka. Tego właśnie dowiedzieć się pragnę.
Po krótkiej pauzie. Nie; zwraca z drogi. Dziś także
okrąża naokoło. Odchodząc od okna. To wielkie
zboczenie z drogi!

P. Helseth. Tak, ale przecież, na Boga, cię-
żkoby chyba przyszło panu pastrowi przejść
przez kładkę. Tam, gdzie się coś podobnego wy-
darzyło, tam —

Rebeka składając robotę szydełkową. Tu w Ros-
mersholmie trwa długo przywiązanie do zmarłych!

P. Helseth. Proszę pani, ja myślę, że to ra-
czej zmarli tak się przywiązują do Rosmersholmu.

Rebeka spoglądając na nią. Zmarli?

P. Helseth. Tak; wydaje się czasami, jakby nie mogli się oni w zupełności rozłączyć z tymi, którzy tu pozostali.

Rebeka. Skąd pani przyszła ta myśl do głowy?

P. Helseth. O ile mi wiadomo, nie pojawiałby się tak często biały koń.

Rebeka. W jakimże związku, droga pani Helseth, pozostają przypuszczenia pani z białym koniem?

P. Helseth. O, nie warto o tem mówić. Pani przecie i tak nie wierzy w podobne rzeczy.

Rebeka. Pani zaś w nie wierzy?

P. Helseth zamykając okno. Nie chciałabym w oczach pani okazać się śmieszną! Spogląda przez okno. Nie, czy to znowu pan pastor idzie drogą prowadzącą do młyna?

Rebeka wyglądając. Ten człowiek, tam? przystępuje do okna. Ależ to rektor.

P. Helseth. Tak, w rzeczy samej, to rektor.

Rebeka. Ależ to doskonale! Zobaczy pani, że on tu przyjdzie.

P. Helseth. Naprawdę idzie prosto przez kładkę! A przecież to była jego rodzona siostra. Ale teraz muszę wyjść, proszę pani, i pokrzętać się koło wieczerzy.

Rebeka przez kilka chwil stoi przy oknie; potem kłania się, kiwając głową z uśmiechem. Zaczyna się ściemniać.

Rebeka mówi przez drzwi z prawej strony. Kochana pani Helseth, niech się pani postara, by coś

dobrego podano nam do stołu. Wie pani przecie, co rektor lubi.

P. Helseth z zewnątrz. O tak, proszę pani, dołożę wszelkich starań.

Rebeka otwierając drzwi do przedpokoju. Więc przecież nareszcie! Serdecznie witam, drogi panie rektorze!

Rektor Kroll stawiając łaskę w przedpokoju. Dziękuję! A więc nie przychodzę w niestosownej chwili?

Rebeka. Pan? Powinien się pan wstydzić takiego przypuszczenia.

Kroll wchodząc do pokoju. Pani zawsze grzeczna i życzliwa. Rozglądając się do koła. Rosmer pewnie jest w swoim pokoju?

Rebeka. Nie, wyszedł na spacer i dłużej pozostaje, niż zazwyczaj. Wkrótce jednak nadejdzie. Tymczasem, proszę zająć miejsce wskazuje na sofę.

Kroll kładąc kapelusz na stole. Dziękuję. Siada i rozgląda się po pokoju. Jak miło i wygodnie urządziłaś pani ten stary pokój. Wszędzie kwiaty!

Rebeka. Rosmer lubi mieć świeże kwiaty około siebie.

Kroll. A pani także, nieprawdaż?

Rebeka. Tak, wydają one woń przyjemnie odurzającą. Dawniej musieliśmy wyrzekać się tej przyjemności.

Kroll smutnie kiwając głową. Biedna Beata nie mogła znosić ich zapachu.

Rebeka. Ani patrzeć na ich barwę. Dostawała zawrotów głowy.

Kroll. Aż nazbyt dobrze o tem pamiętam. Swobodniej. No, a zresztą, co tutaj słyszać?

Rebeka. Wszystko idzie zwyczajnym, spokojnym trybem; jeden dzień równy drugiemu. — Cóż słyszać w mieście? Jak się panu powodzi? Jak zdrowie żony pańskiej?

Kroll. Droga pani, nie mówmy o tem. W każdej rodzinie zawsze jest coś takiego, czegooby być nie powinno. Zwłaszcza w takich czasach, jak dzisiejsze.

Rebeka po krótkiej pauzie siada na fotelu obok sofy. Dlaczego pan w czasie wakacyi nie odwiedziłeś nas ani razu?

Kroll. Nie można przecież ludzi nachodzić.

Rebeka. Gdyby pan wiedział, jak bardzo nam pana brakowało.

Kroll. Wyjeżdżałem także na czas jakiś.

Rebeka. Ale tylko na kilka tygodni. Podobno brał pan udział w zgromadzeniach ludowych.

Kroll potakuje. Tak, i cóż pani na to? Czy przypuściłaby pani kiedykolwiek, że ja na stare moje lata stanę się jeszcze politycznym agitatorrem? Co?

Rebeka uśmiechając się. Potrosze zajmowałeś się przecież zawsze agitacją, kochany rektorze.

Kroll. No, tak, dla mej osobistej przyjemności. Teraz jednak poważnie biorę się do rzeczy. Czy pani czytuje od czasu do czasu radykalne pisma?

Rebeka. Tak, drogi rektorze, nie mogę zaprzeczyć.

Kroll. Ależ ja nie mam przeciw temu. Naturalnie, o ile to tylko pani dotyczy.

Rebeka. Tak w rzeczy samej. Muszę przecież iść z duchem czasu, zdawać sobie sprawę ze wszystkiego.

Kroll. W każdym razie nie wymagam wogóle od pani, jako od kobiety, by pani zajęła stanowisko wyraźne i zdecydowane w tej srożącej się tu domowej waśni, — możnaby nawet powiedzieć — domowej wojnie. Czytała pani jednak, jak ci ponowie z „ludu“ uznali za stosowne ze mną sobie postąpić? Jakiemi obelgami i oszczerczymi zarzutami mię obsypali?

Rebeka. Zdaje mi się, że i pan wcale dobrze dał się im we znaki.

Kroll. Tak, w rzeczy samej, muszę to przyznać, że i ja im pokazałem zęby. Teraz dopiero znalazłem w tem upodobanie. Oni zaś muszą się przekonać, że ja nie jestem człowiekiem, którego bezkarnie znieważać można przerywając. Nie, dajmy już temu pokój i nie wracajmy już dziś do tego smutnego i oburzającego tematu.

Rebeka. Dajmy więc pokój, kochany rektorze.

Kroll. Niech mi pani lepiej powie, jak się pani powodzi tu w Rosmersholmie, odkąd pani została osamotnioną, odkąd nasza nieszczęśliwa Beata...

Rebeka. O, powodzi mi się wcale dobrze. Wprawdzie nie raz doznaję uczucia wielkiej pustki, tęsknoty i smutku. To jednak rzecz naturalna. Wogóle zaś...

Kroll. Czy pani zamierza tu pozostać przez czas dłuższy?

Rebeka. Ah, drogi rektorze, ja naprawdę niczego nie zamierzam. Czuję się tutaj tak u siebie, że zdaje mi się jakbym naprawdę była w swoim własnym domu.

Kroll. Tak też jest chyba w rzeczy samej.

Rebeka. I dlatego też chętnie pozostanę, jeżeli pastor Rosmer będzie uważał, że mogę przyczynić się do jego szczęścia.

Kroll patrząc na nią ze wzruszeniem. Zaprawdę jest coś podniosłego w kobiecie, która dla drugich całą swą młodość poświęca.

Rebeka. Bo i jakież inny cel życia mogłabym znaleźć?

Kroll. Niedawno jeszcze miała pani ciągłe utrapienie ze swym sparaliżowanym, niezupełnym opiekunem.

Rebeka Niech pan nie sądzi, że doktor West, tam w Finnmarken był tak niezupełnym. Te

straszne podróże morskie go złamały. Kiedyśmy tam się sprowadzili, przebył on jeszcze parę ciężkich lat, zanim cierpienia jego się skończyły.

Kroll. A czy te lata, które potem nastąpiły, nie były jeszcze cięższe dla pani?

Rebeka. Jak pan może mówić coś podobnego! Ja przecież tak kochałam Beatę. Biedaczka tak bardzo potrzebowała troskliwej opieki i serdecznego współczucia.

Kroll. Jak bardzo wdzięczny jestem pani, że pani mówi o niej z tak wyrozumiałą dobrocią.

Rebeka przysuwając się bliżej do niego. Kochany rektorze, mówisz to tak serdecznie, że nabieram przekonania, iż na dnie twojej duszy niema przecież niechęci.

Kroll. Niechęci? Co pani przez to chce powiedzieć?

Rebeka. Przecież nicby w tem dziwnego nie było, gdyby pana obecność obcej osoby w Rosmersholmie niechętnie usposobić mogła.

Kroll. Ale, cóż znowu?

Rebeka. A więc tak nie jest? Podając mu rękę. Dziękuję ci serdecznie, drogi rektorze.

Kroll. Skąd nawet coś podobnego mogło pani przyjść na myśl?

Rebeka. Poczułam się tego obawiać, gdyż pan odwiedzałeś nas tak rzadko.

Kroll. W takim razie była pani w prawdziwym błędzie, panno West. Zresztą przecież na-

prawdę nie się tu nie zmieniło. Pani i tak już podczas ostatnich lat życia nieszczęśliwej Beaty prowadziłaś cały zarząd domem.

Rebeka. Był to jednak tylko rodzaj regencyi w imieniu pani domu.

Kroll. Niechże i tak będzie. — Wie pani co, panno West, jabym nie nie miał przeciw temu, gdyby pani... ale to nie wypada mówić o takich rzeczach.

Rebeka. Co pan chce powiedzieć?

Kroll. Gdyby tak się stało, żeby pani zajęła opróżnione miejsce.

Rebeka. Zajmuję to miejsce, którego pragnę panie rektorze.

Kroll. To jest tylko zarząd domem, — w istocie jednak...

Rebeka. Wstydź się pan, panie rektorze. Jakże można żartować sobie z tak poważnych rzeczy.

Kroll. Być może, że nasz pocciwy Jan Rosmer jest tego zdania, że już dość miał małżeństwa — mimo to jednak...

Rebeka. Nieomal śmiać mi się chce z pana.

Kroll. Mimo to jednak — niech mi pani powie, jeśli zapytać wolno, ile lat właściwie pani liczy?

Rebeka. Wstyd mi się przyznać — 29 lat mam już, panie rektorze, wkrótce rozpocznę trzydziesty.

Kroll. Tak, tak — a Rosmer? ile on ma lat właściwie? Zaraz, zaraz do tego dojdziemy. Rosmer jest o pięć lat młodszym odemnie. Ma zatem najmniej 43 lat. Wobec tego wszystko dobrze się składa.

Rebeka. Tak w rzeczy samej. Wstaje. Wszystko dobrze się składa. Czy zechce pan zostać dziś z nami na wieczerzy, panie rektorze?

Kroll. Bardzo chętnie. I tak miałem zamiar dłużej tu pozostać, gdyż mam bardzo ważną sprawę omówić z Rosmerem. Aby zaś pani nie przychodziły więcej na myśl niedorzeczne przypuszczenia, częstszym już teraz będę tu gościem.

Rebeka. Jak to dobrze! ściska go za ręce. Dziękuję panu! Pan jest bardzo dobrym i pocziwym człowiekiem.

Kroll mrucząc niechętnie. Tak, naprawdę? Większe tutaj zaiste, niż we własnym domu słyszę pochwały. Jan Rosmer wchodzi z prawej strony.

Rebeka. Panie Rosmer, czy widzisz, kogo tutaj mamy?

Rosmer. Pani Helseth mi już powiedziała.

Rektor Kroll wstaje.

Rosmer łagodnie i stłumionym głosem, podając mu rękę. Bądź znowu pozdrowiony w moim domu, kochany rektorze. Kładąc mu rękę na ramieniu i spoglądając mu w oczy. Drogi, stary przyjacielu! Wiedziałem dobrze, że między nami znowu kiedyś zażyłość lat dawnych zapanować musi.

Kroll. Ależ, na Boga, czyżbyś i ty żywił tę myśl szaloną, że cośkolwiek między nami zaszło?

Rebeka do Rosmera. Pomyśl pan, jak to dobrze, że to było tylko złudzenie.

Rosmer. Czy naprawdę? Dlaczegoż jednak usunąłeś się od nas zupełnie?

Kroll poważnie i cicho. Ponieważ nie chciałem stawać ci przed oczyma jako żywe wspomnienie twych lat nieszczęśliwych i przywoływać obraz tej, która zginęła w młyńskim potoku.

Rosmer. Dowodzi to wielkiej z twojej strony delikatności. Ty zresztą byłeś zawsze tak delikatnym. Niepotrzebnie jednak usunąłeś się od nas dla tej tylko przyczyny. Chodź, usiądźmy na sofce. Siadają. Zapewniam cię, że myśl o Beacie nie sprawia mi przykrości. Mówimy o niej codziennie. Dla nas ciągle jeszcze należy ona do rodziny.

Kroll. Naprawdę?

Rebeka zapalając lampę. Naprawdę.

Rosmer. To przecież rzecz naturalna. Oboje kochaliśmy ją tak szczerze. I tak Rebeka — panna West — jak i ja w zupełności jesteśmy przekonani, że uczyniliśmy wszystko, ce było w naszej mocy dla tej biedaczki. Dlatego też wspomnienie Beaty jest raczej miłym i przyjemnym dla mnie.

Kroll. Jesteście zacni i dobrzy ludzie. Od dziś dnia codziennie odwiedzać was będę.

Rebeka siadając w fotelu. Proszę tylko dotrzymać słowa.

Rosmer z pewnem wahaniem się. Widzisz, Kroll, ja serdecznie bym pragnął, żeby stosunki nasze nigdy się już nie oziębiły. Od pierwszych początków naszej znajomości byłeś mi zawsze doradcą. Jeszcze za czasów szkolnych.

Kroll. Tak, w rzeczy samej; i zawsze uważałem to sobie za wielki zaszczyt. Czy teraz masz mi coś szczególniejszego do powiedzenia?

Rosmer. O wielu rzeczach chciałbym z tobą zupełnie szczerze i otwarcie pomówić. Tak, zupełnie bez ogródek!

Rebeka. Nieprawdaż, panie Rosmer? Myślę, że tak być powinno między starymi przyjaciółmi.

Kroll. Wierz mi, że i ja więcej jeszcze mam z tobą do pomówienia, gdyż stałem się teraz, jak ci zapewne wiadomo, czynnym politykiem.

Rosmer. Wiem o tem. Jak się to stało właściwie?

Kroll. Byłem zmuszony. Tak, byłem zmuszony nawet wbrew mym chęciom. Dłużej już niepodobna być tylko niemym świadkiem. Teraz gdy zwolennicy radykalnych prądów doszli niestety do znaczenia, teraz nadeszła stanowcza chwila. Dlatego też nakłoniłem nieliczne grono przyjaciół w mieście do silnego i solidarnego skupienia się. Bo stanowcza chwila nadeszła, powtarzam.

Rosmer uśmiechając się nieznacznie. Czy jednak nie jest już trochę zapóźno?

Kroll Nie da się zaprzeczyć, że wcześniej należało zgubnemu prądowi nasunąć zaporę. Któż jednak mógł przewidzieć, że do tego dojdzie? Ja sam, żadną miarą. Wstaje i chodzi po pokoju. Teraz jednak naprawdę otworzyły mi się oczy; bo teraz duch buntu przeniknął nawet do szkoły.

Rosmer. Do szkoły? Przecież chyba nie do twojej szkoły?

Kroll. Niestety tak. Do mojej własnej szkoły. Cóż ty na to? Odkryłem, że chłopcy z najwyższej klasy, — to jest raczej pewna ich część tylko, — już od półroku zawiązali tajemne stowarzyszenie, w którym czytają dziennik Mortensgarda!

Rosmer. Ah, „Latarnię morską“!

Kroll. Tak. Możesz sobie wystawić, jaka to zdrowa strawa dla przyszłych urzędników. Najsmutniejszym jest jednak to, że właśnie najzdolniejsi chłopcy z całej klasy ten spisek przeciw mnie zawiązali. Tylko nieuki i niedołęgi trzymają się od tego stowarzyszenia zdaleka.

Rebeka. Czy to tak bardzo obchodzić cię powinno, kochany rektorze?

Kroll. Czy mię obchodzić powinno? Taka szkoda w mojej pracy! Ciszej. Powiedziałbym jednak i w tym jeszcze wypadku: niech tam będzie, jak już się stało. Nie na tem jednak koniec.

Ogląda się w koło. Wszak tu nikt nie słucha po-
de drzwiami?

Rebeka. O, może być pan zupełnie spokojny.

Kroll. Wiedzieć tedy, że niezgoda i bunt do
mego własnego domu wtargnęły. Do mego ciche-
go domu. I zniszczyły spokój naszego rodzinne-
go życia.

Rosmer wstając. Co ty mówisz? Do twego
domu—?

Rebeka przystępując do Krolla. Ale cóż właści-
wie się stało, drogi przyjacielu?

Kroll. Czy uwierzycie, że moje własne dzieci—
Otóż krótko mówiąc Laurits jest naczelnikiem
szkolnego stowarzyszenia, Hilda zaś sama zro-
biła czerwoną teczkę, by w niej ukrywać „La-
tarnię morską.“

Rosmer. Tego bym nigdy w życiu nie przy-
puszczał, że u ciebie — w twoim własnym domu —

Kroll. Bo i któżby mógł coś podobnego przy-
puścić? W moim domu, gdzie zawsze panowała
karność i porządek, — gdzie do tej chwili jedna
tylko wola rządziła.

Rebeka. Jak się pańska żona na to zapatruje?

Kroll. Otóż to właśnie najbardziej w zdumie-
nie mnie wprawia. Ona, która przez całe życie,
tak w wielkich jak i małych rzeczach podzie-
lała moje zapatrywania i szła za moimi poglą-
dami, teraz przychyła się nawet pod wielu
względami na stronę moich dzieci. A później

mnie przypisuje winę, że się to wszystko stało. Powiada, że ja krępuję młodzież. Jakby to właśnie nie było potrzebnem i koniecznem! I tak mam teraz w domu burzę. Mówię o tem naturalnie jak najmniej. W ten sposób najłatwiej pokonać przeciwnika. Spaceruje naokoło. Tak, tak, tak. Staje z rękoma skrzyżowanemi na plecach koło okna i wygląda przez nie.

Rebeka zbliża się do Rosmera i mówi cicho i prędko niesłyszana przez Krolla. Zrób to dziś!

Rosmer tak samo. Nie teraz.

Rebeka jak przedtem. Ależ teraz właśnie! poprawia lampę.

Kroll wracając na przód sceny. Tak, mój drogi Rosmerze, teraz zatem wiadomo ci w jaki sposób duch czasu rzucił cień tak na domowe moje życie, jak i na moją zawodową działalność. I czyż nie jest moją powinnością tego zgubnego, niszczącego, rozkładowego ducha czasu zwalczać wszelkimi środkami, jakimi rozporządzać mogę? I zamierzam też to uczynić. Zarówno słowem jak i piórem.

Rosmer. Czy masz nadzieję w ten sposób dopiąć swego celu?

Kroll. Chcę w każdym razie dopełnić mej obywatelskiej obronnej powinności i jestem przekonany, że każdy patryotycznie myślący, o dobro publiczne troszczący się człowiek obowiązany jest tak samo postąpić. Dlatego też do ciebie dziś właśnie przyszedłem.

Rosmer. Jakto, drogi przyjacielu, co chcesz przez to powiedzieć? Czyżbyś sądził, że i ja—?

Kroll. Powinieneś twemu staremu przyjacielowi przyjść z pomocą. Działać tak samo jak drudzy. Przyłożyć rękę do dobrego dzieła według możliwości.

Rebeka. Ależ rektorze, wiesz przecie, jak niechętnie pan Rosmer zajmuje się temi sprawami.

Kroll. Niechęć tę musi teraz przezwyciężyć. Za mało bierzesz udziału w życiu publicznem, Rosmerze. Siedzisz tu spokojnie i zagrzebujesz się w twych historycznych zbiorach. Mam wielki szacunek dla badań historycznych i wszystkiego, co z niemi się łączy. Ale teraz nie pora na takie zajęcie. Nie masz nawet wyobrażenia, jakie oplakane stosunki panują w całym kraju. Można by prawie powiedzieć, że wszystkie pojęcia odwrócono do góry nogami. Olbrzymia to praca wykorzenie napowrót te wszystkie błędy.

Rosmer. Zgadzam się na to. Ale ja nie nadaję się do pracy tego rodzaju.

Rebeka. A przytem sędzę, że pan Rosmer dziś doszedł już do tego, że na życiowe sprawy bardziej otwartem okiem spogląda.

Kroll zmieszany. Bardziej otwartem okiem?

Rebeka. Tak, swobodniej, bezstronnie.

Kroll. Co to ma znaczyć, Rosmerze? Nie jesteś przecie chyba tak słabym, byś dał się złu-

dzić, że ci, ci przywódcy tłumów narazie odnieśli zwycięstwo?

Rosmer. Drogi przyjacielu, wiesz dobrze, że niewiele znam się na polityce. Zdaje mi się jednak, że istotnie w ostatnich latach samodzielność myślenia pojedynczych jednostek o wiele naprzód postąpiła.

Kroll. No i to, tak bez ogródek uważasz za coś dobrego! Zresztą jesteś w błędzie, mój drogi. Spojrz tylko naokoło siebie i posłuchaj, jakie to zasady są górami pomiędzy radykałami tak tu jak i poza miastem. Niczem się one nie różnią od tej mądrości, którą szerzy „Latarnia morska.“

Rebeka. Tak, Morten sgard ma wiele wpływu nad tutejszymi i okolicą.

Kroll. Niestety przyznać to trzeba! I to człowiek z tak brudną przeszłością! Człowiek, który z powodu niemoralnego życia złożony został z urzędu nauczyciela—! Taki ośmiela się agitować jako przewodca ludu! I powodzi mu się! Powodzi mu się naprawdę! Jak słyszę, ma teraz zamiar powiększyć swe pismo. Wiem także z pewnego źródła, że szuka zdolnego współpracownika.

Rebeka. Mnie tylko wydaje się dziwnem, że ani pan, ani pańscy przyjaciele nie usiłują mu nic przeciwstawić.

Kroll. Otóż właśnie teraz zamierzamy to uczynić. Dziś zakupiliśmy „Gazetę urzędową.“ Kwe-

stya pieniężna nie nastęczyła żadnych trudności. Ale — zwraca się do Rosmera teraz właśnie przystępuję do właściwego jądra rzeczy. Kierownictwo, dziennikarskie kierownictwo, wiele nam sprawia kłopotu. Powiedz mi, Rosmerze, czy ty, w imię dobrej sprawy, nie czułbyś się spowodowanym, objąć to kierownictwo?

Rosmer prawie przerażony. Ja!

Rebeka. Jak panu nawet myśl podobna przysć mogła do głowy.

Kroll. Że usuwasz się od ludowych zgromadzeń i przyjemności, któreby na nich spotkać cię mogły, — to może i rozsądniej. Ale sama w sobie zamknięta działalność redaktora, albo lepiej powiedziawszy...

Rosmer. Nie, nie, drogi przyjacielu, tego odemnie wymagać nie możesz.

Kroll. Ja sam bardzo chętnie popróbowałbym sił moich w tym kierunku. Ale to przechodzi me siły. I tak obciążony jestem już naprzód całą masą interesów. Tobie zaś żadne urzędowe stanowisko na przeszkodzie nie stoi. My wszyscy naturalnie pomagać ci będziemy według możliwości.

Rosmer. Nie mogę, mój drogi, nie mam w tym względzie zdolności.

Kroll. Nie miałbyś zdolności? Tą samą wymówką zasłaniałeś się, gdy ojciec wystarał się dla ciebie o urzędowe stanowisko.

Rosmer. I miałem słuszną. Dlatego też poszedłem swoją drogą.

Kroll. Bądź tylko tak zręcznym redaktorem, jak byłeś kaznodzieją, a my z pewnością będziemy zadowoleni.

Rosmer. A jednak, mój drogi, muszę ci stanowczo oświadczyć, że zastosować się do twego życzenia nie mogę.

Kroll. W takim razie udzielisz nam przynajmniej swego nazwiska.

Rosmer. Mego nazwiska?

Kroll. Tak, już samo nazwisko Jana Rosmera wielką dla pisma będzie korzyścią. My wszyscy bowiem uchodzimy za zdeklarowanych mężów stronnictwa. Jak mię wieści dochodzą, mnie samego okrzyczano za zagorzałego fanatyka. Dlatego też nie możemy liczyć na zapewnienie szerokiej poczytności pismu wydawanemu pod firmą naszych nazwisk wśród tłumów w błąd prowadzonych. Ty zaś przeciwnie, od wszystkich wasi trzymałeś się dotychczas z daleka. Twoje łagodne, uczciwe poglądy, twój subtelny sposób myślenia, wreszcie twoja nieskazitelna uczciwość powszechnie są znane i cenione. A podać tu jeszcze należy szacunek i cześć, jaką wzbudza twój dawniejszy duchowny charakter. Przytem jeszcze urok twego nazwiska.

Rosmer. O, urok nazwiska...

Kroll wskazuje na portrety. Rosmerowie na Rosmersholmie: kapłani lub oficerowie. Urzędnicy wysokich stopni. Wszyscy ludzie honoru, bez skazy, wszyscy razem członkowie rodu, który od kilku stuleci tu osiadł i w opinii tutejszego obwodu pierwsze zajmuje miejsce. Kładzie Rosmerowi rękę na ramieniu. Tak, mój drogi, w obec samego siebie i rodowych tradycji obowiązany jesteś strzedz tego, co dotąd wśród naszego społeczeństwa uchodziło za dobre odwracając się. A co pani mówi na to, panno West?

Rebeka śmiejąc się cicho i nieznacznie. Kochany rektorze, dla mnie słuchać tego wszystkiego, jest niesłychanie komicznem.

Kroll. Co?! Komicznem?

Rebeka. Tak! Gdyż teraz właśnie chcę panu powiedzieć —

Rosmer. Nie, nie! Daj spokój! Jeszcze nie teraz!

Kroll spogląda na nich kolejno. Ale cóż to ma znaczyć, na Boga, moi drodzy —? Przerwywając. Hm!

Pani Helseth wchodzi z prawej strony.

P. Helseth. W kuchni znajduje się jakiś człowiek, który mówi, że chce pana pastora powitać.

Rosmer oddechając lżej. Proszę, proszę niech wejdzie.

P. Helseth. Tu do pokoju?

Rosmer. Naturalnie.

P. Helseth. Bo on nie bardzo jakoś na to wygląda, żeby go można wpuścić do pokoju.

Rebeka. Jakże więc wygląda?

P. Helseth. O, znowu nie tak bardzo szczególnego.

Rosmer. Czy nie powiedział, jak się nazywa?

P. Helseth. Powiedział, jak mi się zdaje, Hekmann, czy też coś podobnego.

Rosmer. Nie znam nikogo tego nazwiska.

P. Helseth. Dodał przytem, że na imię ma Uldrik.

Rosmer nagle. Ulryk — Hetmann! Czy tak?

P. Helseth. Tak, tak, Hetmann.

Kroll. To nazwisko z pewnością kiedyś już słyszałem.

Rebeka. Było to przecież nazwisko, którem zwykł był się podpisywać, on, ten dziwaczny.

Rosmer do Krolla. To pseudonim literacki Ulryka Brendla.

Kroll. Zaginiony Ulryk Brendel! Tak, w istocie.

Rebeka. A więc żyje jeszcze?

Rosmer. Sądziłem, że przyłączył się do wędrowniej trupy aktorskiej.

Kroll. Ostatnia moja o nim wiadomość była że pracuje w jakiejś fabryce.

Rosmer. Niech pani go tu wprowadzi, pani Helseth.

P. Helseth. Dobrze, dobrze. Odechodzi.

Kroll. Czyżbyś rzeczywiście chciał przyjąć tego człowieka w swoim domu?

Rosmer. Wiesz przecież, że przez czas jakiś był moim nauczycielem.

Kroll. Wiem, że nabił ci głowę buntowniczymi poglądami, i że ojciec twój nahajem wygnał go z domu.

Rosmer nieco cierpko. Ojciec był nawet w swoim domu majorem.

Kroll. Ty zaś jeszcze po śmierci powinienes mu być za to wdzięcznym, drogi przyjacielu. Tak, tak!

Pani Helseth otwiera Ulrykowi Brendlowi drzwi z prawej strony, potem wychodzi i zamyka je za sobą. Brendel jest roslým człowiekiem, okazałej powierzchowności, trochę wynędzniały. Włosy i broda siwe. Ubrany jak pospolity włóczęga. Surdut wytarty, buty zniszczone; koszuli wcale nie widać. Na rękach stare, wytarte rękawiczki; miękki, brudny kapelusz pod pachą. Wsparty na lasce.

Brendel z początku zakłopotany, zbliża się prędko do rektora Krolla i wyciąga doń rękę. Dobry wieczór, Janie!

Kroll. Pan wybaczy.

Brendel. Czy spodziewałeś się zobaczyć mnie jeszcze kiedy? I to w tych znienawidzonych murach?

Kroll. Pan wybaczy — wskazując. Tam.

Brendel odwraca się. Prawda. To on. Janie, mój chłopcze, ty, którego kochałem najwięcej!

Rosmer podając mu rękę. Mój stary nauczycielu.

Brendel. Pomimo przykrych wspomnień, nie chciałem minąć Rosmersholmu bez krótkich odwiedzin.

Rosmer. Witam pana całym sercem. Możesz być tego pewnym.

Brendel. A ta uroczą pani—? kłania się. Zapewne pani pastorowa.

Rosmer. Panna West.

Brendel. Zatem blizka krewna. A ten nieznajomy—? Jak widzę, kolega w urzędzie.

Rosmer. Rektor Kroll.

Brendel. Kroll? Kroll? Chwileczkę. Czy za młodych lat nie studiowałeś pan filozofii?

Kroll. Naturalnie.

Brendel. Ależ, do szatana, w takim razie znałem cię doskonale!

Kroll. Pan wybaczy.

Brendel. Czy nie byłeś...

Kroll. Pan wybaczy.

Brendel. Jednym z tych szermierzy cnoty, którzy mię wyrzucili ze stowarzyszenia?

Kroll. Bardzo być może. Protestuję jednak przeciw wszelkiej bliższej znajomości.

Brendel. No, no, jak się panu podoba, panie doktorze. Wszystko mi jedno. Ulryk Brendel zawsze pozostanie takim jakim jest.

Rebeka. Zapewne pan zatrzyma się czas jakiś w mieście, panie Brendel?

Brendel. Pani pastorowa ma słuszość. Od czasu do czasu jestem zmuszony staczać walkę o byt. Nie czynię tego chętnie — ale wreszcie — nagleca konieczność.

Rosmer. Ależ, kochany panie Brendel, czy nie pozwoli pan przyjść sobie w jakikolwiek sposób z pomocą? W jakikolwiek sposób sądzę.

Brendel. Co za propozycja! Czyżbyś chciał zbeczcścić czysty węzeł, który nas łączy? Nigdy, Janie, nigdy.

Rosmer. Czem jednak pan zamyśla zająć się w mieście? Mogę panu zaręczyć, że nie przyjdzie to tak łatwo.

Brendel. Zostaw to już mnie, mój chłopcze. Kości rzucone. Tak jak przed tobą stoję, zamierzam wielką podróż przedsięwziąć. Większą niż wszystkie dotychczasowe moje wycieczki. Do rektora Krolla. Czy mogę pana profesora zapytać, — tak między nami — czy w waszem szanownem mieście nie znajduje się przyzwoita, porządna i obszerna sala na zgromadzenia?

Kroll. Największą jest sala stowarzyszenia robotniczego.

Brendel. Czy pan docent ma jaki wykwalifikowany wpływ w tem bezwątpienia bardzo pożytecznem stowarzyszeniu?

Kroll. Nie mam z niem zgoła żadnej styczności.

Rebeka do Brendla. Niech się pan zwróci do Piotra Mortensgarda.

Brendel. Przepraszam panią, cóż to znowu za idyota?

Rebeka. Dlaczego uważasz pan właśnie Piotra Mortensgarda za idyotę?

Brendel. Czy samo brzmienie nazwiska nie wskazuje już, że nosi go idyota?

Kroll. Takiej odpowiedzi się nie spodziewałem.

Brendel. Ale ja się przezwyciężę. Nie ma rady. Gdy kto — tak jak ja — stoi u przełomu swego punktu życia. — Rzecz skończona. Nawiążę stosunki z ludźmi, wdam się w bezpośrednie rokowania.

Rosmer. Czy pan rzeczywiście stoi u przełomowego punktu życia?

Brendel. Czy mój jedyny chłopiec nie wie o tem, że Ulryk Brendel zawsze mówi poważnie o poważnych kwestiach? Tak, mój drogi, teraz stanę się nowym człowiekiem. Porzucę obojętne stanowisko, które do tej chwili zajmowałem.

Rosmer. Jakto?

Brendel. Chcę silną ręką chwycić za życiową sprawę. Wysunąć się naprzód. Wystąpić. Burzliwy to czas zmiennej epoki, w której żyjemy. Teraz chcę złożyć mą ofiarę na ołtarzu wolności.

Kroll. Więc i pan także?

Brendel do wszystkich. Czy publiczność tutejsza zna dokładniej moje rozpowszechnione dzieła?

Kroll. Muszę szczerze wyznać, że...

Rebeka. Czytałem niektóre. Mój opiekun bowiem miał je u siebie.

Brendel. Piękna pani, — traciłaś zatem czas na próżno, bo to wszystko marne gałgaństwo, zaręczam pani.

Rebeka. Tak?

Brendel. Tak, to co pani czytała. Najważniejszego mego dzieła nie zna żaden mężczyzna ni żadna kobieta. Nikt — prócz mnie samego.

Rebeka. Jakże to stać się mogło?

Brendel. Ponieważ wcale nie zostało napisane.

Rosmer. Ależ, kochany panie Brendel...

Brendel. Wiesz przecie, mój Janie, że ja jestem potrosze sybarytą... smakoszem. Byłem nim całe me życie. Lubię w samotności upajać się rozkoszą. Wówczas bowiem upajam się podwójnie. Dziesięćkroć więcej. Widzisz, kiedy sny złote na mnie spływały, otaczały mnie, — gdy nowe zawrotne, w dal biegnące myśli rodziły się w mej głowie i potężnymi chłodziły mię skrzydły, wówczas ubierałem je w formę, w poezję, w wizję, w obrazy. — Tak, w ogólnych zarysach, rozumiesz.

Rosmer. Tak, tak.

Brendel. O, jakże używałem, jak upajałem się rozkoszą! Tajemniczą błogość tworzenia, — tak, w ogólnych zarysach, jak powiedziałem, poklask, podziękę, sławę, wawrzynowe wieńce, — wszystko chwytałem pełnemi, drżącemi z zachwyty rę-

koma. Syciłem się tą rozkoszą w tajemnych snach mej wyobraźni, — wznosiłem się na zawrotne wyżyny wielkości —!

Kroll. Hm.

Rosmer. Tego wszystkiego nigdy pan jednak nie opisałeś?

Brendel. Nie napisałem ani jednego słowa. To obmierzłe rzemiosło pisania zawsze wstręt we mnie wzbudzało. Dlaczegoż także miałbym profanować moje ideały, mogąc ich używać w czystości i tylko dla siebie? Teraz jednak postanowiłem je poświęcić. I zaiste — tak mi jest teraz nieswojsko, jak matce, która swe młode córki zięciom oddaje. Ale poświęcę je pomimo tego, złożę na ołtarzu wyswobodzenia. Szereg dobrze pomysłanych odczytów — w całym kraju —!

Rebeka żywo. To dowodzi wielkości pańskiej duszy, panie Brendel! Poświęcasz pan to, co masz najdroższego.

Brendel. I to, co mi jedynie pozostało.

Rebeka patrząc znacząco na Rosmera. Czy wielu jest ludzi, którzyby się na to zdobyli? Którzyby się na to odważyli?

Rosmer odpowiada na jej spojrzenie. Kto wie?

Brendel. Społeczeństwo jest wzruszone. To orzeźwia me serce — i wzmacnia siłę woli. Wkrótce rozpocznę działać. Ale jeszcze jedna rzecz. Do rektora. Czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, panie preceptorze, czy jest tu jakie sto-

warzyszenie wstrzemięźliwości? tak, stowarzyszenie wstrzemięźliwości? Jest chyba naturalnie.

Kroll. Jest, w rzeczy samej. Ja sam jestem przewodniczącym.

Brendel. Nie byłbym się tego po panu spodziewał! A więc nie jest rzeczą niemożliwą, bym się do was zgłosił i zapisał się na tydzień jako członek.

Kroll. Wybacz pan — na tydzień nie przyjmujemy członków.

Brendel. Tem lepiej, panie pedagogu, Ulryk Brendel nie cisnął się nigdy do drzwi podobnych towarzystw odwracając się. Ale nie mogę już przedłużać mego pobytu w tym domu, tak bogatym we wspomnienia. Muszę iść do miasta i wyszukać sobie odpowiednie mieszkanie. Spodziewam się, że jest tu porządny hotel.

Rebeka. Czy nie napiłby się pan czego ciepłego przed odejściem?

Brendel. Czego na przykład, łaskawa pani?

Rebeka. Szklankę herbaty, lub...

Brendel. Dziękuję szcudrośliwej gosposi tego domu, ale nie mam ochoty konfiskować dla siebie prywatnej gościnności. Żegna się gestem ręki. Do widzenia, szanowni państwo! Idzie do drzwi, od progu wraca jednak. Ale prawda — Janie — pastorze Rosmerze — czy nie wyświadczyłbyś twemu staremu nauczycielowi w imię dawnej przyjaźni pewnej przysługi?

Rosmer. Ale jak najchętniej.

Brendel. Dobrze. Pożycz mi w takim razie — na dzień lub dwa — uprasowanej koszuli.

Rosmer. To już wszystko?

Brendel. Bo widzisz, tym razem podróżuję — piechotą. Mój kufer później dopiero zostanie przysłany.

Rosmer. Więcej nie potrzebujesz pan niczego?

Brendel. Wiesz co, może masz jakie zbyteczne stare letnie ubranie.

Rosmer. Mam, mam, naturalnie.

Brendel. Ponieważ zaś para porządnych butów do ubrania należy...

Rosmer. I na to poradzimy. Zostaw pan tylko adres a wnet pošlemy panu te rzeczy.

Brendel. Żadną miarą. Nie pozwolę zaprzątać sobą głowy. Wezmę te drobnostki ze sobą.

Rosmer. Dobrze, dobrze. Może zechce pan zatem pójść ze mną na górę.

Rebeka. Lepiej, że ja to załatwię. Ja i pani Helseth pomyślimy o wszystkim.

Brendel. Nigdy nie pozwolę, aby ta dystygowana dama—!

Rebeka. Ale cóż znowu! Proszę tylko za mną, panie Brendel! Wychodzi na prawo.

Rosmer zatrzymując Brendla. Niech mi pan powie — czy nie mogę panu jeszcze czemś służyć?

Brendel. Nie wiem naprawdę, coby to być mogło. Ależ, do szatana, — przychodzi mi na

myśl—! Janie, czy nie masz przypadkiem przy sobie trzech koron?

Rosmer. Zaraz zobaczę. Otwiera portmonetkę. Mam tu dwie dziesięciokoronówki.

Brendel. No, to wszystko jedno. Mogę je wziąć. Przecież zmieniają mi je w mieście. Dziękuję ci tymczasem. Nie zapomnij, że wziąłem dwie dziesięciokoronówki. Dobranoc, mój drogi, jedyny chłopcze! Dobranoc, szanowny panie! Wychodzi na prawo. Rosmer żegna się z nim przy drzwiach i zamyka je potem.

Kroll. Miłosierny Boże! I to był Ulryk Brendel, o którym dawniej ludzie myśleli, że zostanie wielkim człowiekiem.

Rosmer cicho. W każdym razie miał odwagę urządzić sobie życie według własnego upodobania. A mnie się zdaje, że to rzecz niepoślednia.

Kroll. Co? Takie życie jak jego! Zdaje mi się, że ten człowiek potrafił wprowadzić zamęt w twoje przekonania.

Rosmer. O nie! Dziś już zdaję sobie jasno sprawę ze wszystkiego.

Kroll. Chciałbym, aby tak było, mój drogi. Bo ty tak nadzwyczaj nie jesteś wrażliwy na postronne wpływy.

Rosmer. Usiądźmy i pomówmy szczerze ze sobą.

Kroll. Jak najchętniej. Siadają na sofie.

Rosmer po krótkiej chwili milczenia. Czy nie wydaje ci się tu przyjemnie i wygodnie?

Kroll. Tak, jest tu teraz przyjemnie, wygodnie i — spokojnie. Masz teraz swój dom, Rosmerze. A ja go utraciłem.

Rosmer. Nie mów tak, drogi przyjacielu. Chwilowy rozdział da się z czasem przecie usunąć.

Kroll. Nigdy. Zarazek zawsze pozostanie. Nigdy już dawny stan rzeczy nie wróci.

Rosmer. Posłuchaj mię, mój drogi. Od wielu, wielu lat staliśmy tak blisko siebie. Czy uważasz za możliwe, by nasza przyjaźń kiedyś się rozbiła?

Kroll. Niema chyba na świecie nic takiego, coby nas rozdzielić mogło. Ale skąd takie myśli przychodzą ci do głowy?

Rosmer. Ponieważ ty przywiązujesz tak wielką wagę do zgodności w poglądach i zapatrzywaniach.

Kroll. No tak, ale przecież pod tym względem we wszystkim niemal zgadzamy się ze sobą. A przynajmniej co do wszystkich kwestyi zasadniczych.

Rosmer cicho. Nie. Teraz już nie.

Kroll chce się zerwać z miejsca. Co to ma znaczyć?

Rosmer zatrzymując go. Proszę cię, nie gorączkuj się, mój drogi.

Kroll. Co to ma znaczyć? Nie rozumiem cię. Mów wyraźnie!

Rosmer. Nowe słońce zaświeciło nad mą duszą. Nowy młodzieńczy prąd. I dlatego ja dziś stoję po tej stronie.

Kroll. Po której stronie? Po której stronie ty stoisz?

Rosmer. Po tej, po której stoją twoje dzieci.

Kroll. Ty? ty! Ależ to niemożliwe! Po której stronie ty stoisz?

Rosmer. Po tej, po której stoją Lawrits i Hilda.

Kroll opuszczając głowę. Odszczepieniec! Jan Rosmer odszczepieńcem!

Rosmer. To, co ty nazywasz odszczepieństwem, mogłoby mnie uczynić tak szczęśliwym i spokojnym. A jednak cierpiałem strasznie. Bo wiedziałem, że tobie ciężkie sprawię zmartwienie.

Kroll. Rosmerze, — Rosmerze! Tego nigdy przenieść na sobie nie zdołam! spogląda na niego ze smutkiem. A więc i ty chcesz przyłożyć ręki do tego zgubnego dzieła i przyczynić się do nieszczęścia kraju.

Rosmer. Ja chcę tylko przyłożyć ręki do dzieła wyzwolenia.

Kroll. Tak, wiem to dobrze. Tego wyrażenia używają zarówno uwodziciele jak i uwiedzeni. Czy sądzisz jednak, że wyzwolenia dokonać można przez te prądy, które już dziś zagrażają zatruciem całego naszego życia społecznego?

Rosmer. Ja też nie przyłączę się do panujących tu prądów. Do żadnego z walczących ze sobą stronnictw. Chcę spróbować zewsząd ludzi gromadzić. Tylu i z taką starannością, jaka będzie w mej mocy. Chcę żyć i wszystkie siły życia mego jednej tylko sprawie poświęcić, — by wśród ludu wytworzyć prawdziwą swobodę zdania.

Kroll. A więc sądzisz, że lud nie ma dość tej swobody zdania! Co do mnie, zdaje mi się, że my wszyscy jesteśmy na drodze prowadzącej do pogrążenia się w bagno, w którym tylko popolite, gminne natury zwykły się czuć szczęśliwemi.

Rosmer. Dlatego właśnie należy wolności zdania wytknąć cel istotny.

Kroll. Jaki cel istotny?

Rosmer. Uczynić wszystkich ludzi w kraju ludźmi szlachetnymi.

Kroll. Wszystkich ludzi—!

Rosmer. W każdym razie, ile możliwości jak najwięcej.

Kroll. W jaki sposób?

Rosmer. Sądzę, że wyswobadzając ich ducha i wzmacniając ich wolę.

Kroll. Jesteś marzycielem, Rosmerze. Chcesz ich oswobodzić? Wolę ich wzmocnić!

Rosmer. Nie, drogi przyjacielu — chcę tylko spróbować pobudzić ich do tego. Dokonać zaś tego muszą oni sami.

Kroll. I sądzisz, że tego dokonać potrafią?

Rosmer. Tak.

Kroll. A więc własną swą siłą?

Rosmer. Tak, własną swą siłą. Innej przecie niema.

Kroll wstaje. Czy przystoi, by w ten sposób mówił duchowny?

Rosmer. Nie jestem już duchownym.

Kroll. Tak — ale twa wiara dziecięca —?

Rosmer. Już jej nie mam.

Kroll. Nie masz już jej —!

Rosmer wstaje. Porzuciłem ją, musiałem ją porzucić.

Kroll wzburzony, ale panując nad sobą. Tak, tak, tak. Jedno wypływa z drugiego. — Czy dla tego może usunąłeś się od sprawowania kościelnego urzędu?

Rosmer. Tak. Gdy zdałem sobie już jasno sprawę, gdy doszedłem do zupełnej pewności, że nowe moje przekonania nie są chwilowem zwątpieniem, ale zasadą, od której nigdy nie potrafiłbym odstąpić, — wówczas usunąłem się.

Kroll. Więc czas tak długi trwała ta walka wewnętrzna? A my — twoi przyjaciele — nic o tem nie wiedzieliśmy. Rosmerze, Rosmerze, jak mogłeś ukrywać przed nami tę smutną prawdę!

Rosmer. Doszedłem do przekonania, że ta rzecz mnie tylko samego obchodzi. A później nie chciałem tobie i innym moim przyjaciołom nie-

potrzebnego sprawiać zmartwienia. Sądziłem, że będę mógł tutaj nadal żyć tak samo jak dawniej: spokojnie i szczęśliwie. Zamierzałem dużo czytać i wgłębić się w te wszystkie dzieła, które do tej chwili były dla mnie zamkniętą książką. Chciałem poprostu wżyć się w ten wielki świat prawdy i wolności, która mi się teraz objawiła.

Kroll. Odszczepieniec! Każde słowo tego dowodzi. Ale dlaczego przyznajesz się do twego tajemnicą pokrytego odszczepieństwa? I dlaczego właśnie teraz?

Rosmer. Ty sam mnie do tego zmusiłeś.

Kroll. Ja? Ja cię zmusiłem — !

Rosmer. Kiedy doszły mię wieści o twojej bezwzględnej, gwałtownej działalności na zgromadzeniach ludowych, kiedy czytałem o twoich surowych, pozbawionych miłości mowach, które tam wypowiadałeś, — o twych nienawistnych napaściach na tych, którzy po przeciwnej stronie stoją — o twoim szyderczym wyroku potępienia na wszystkich, co byli innego zdania — o Krollu! — że to ty, ty, takim stać się mogłeś. Wtedy jasno zdałem sobie sprawę z tego, gdzie leży mój obowiązek. Ludzie stają się złymi w tej waśni, która teraz rozgorzała. Pokój, równowaga i zgoda nanowo muszą zapanować w umysłach. Dlatego ja teraz występuję i otwarcie wyznaję, czem jestem. I teraz chcę także wypróbować me siły.

Czy i ty nie mógłbyś — pójść ze mną razem. Krollu?

Kroll. Nigdy, póki życia mego, nie będę próbował układów z niszczącymi żywiołami społeczeństwa.

Rosmer. Pozwól więc przynajmniej walczyć nam szlachetną bronią, jeżeli już walczyć musimy.

Kroll. Kto w najważniejszych życiowych sprawach na jednym zemną nie stoi gruncie, — tego nie znam więcej. I nie poczuwam się wobec niego do żadnych względów.

Rosmer. Czy i do mnie to także się odnosi?

Kroll. Sam zerwałeś ze mną, Rosmerze.

Rosmer. Ależ czyż to jest zerwanie!

Kroll. Czy to jest zerwanie! Tak, to zerwanie ze wszystkimi, z którymi blizkie dotąd łączyły cię związki. Musisz ponosić skutki.

Rebeka West wchodzi z prawej strony, otwierając drzwi na oścież.

Rebeka. A więc jest on już na drodze do swego wielkiego ofiarnego święta. A teraz możemy zasiąść do stołu. Proszę bardzo, panie rektorze.

Kroll biorąc kapelusz. Dobranoc pani, panno West. Nie mam tu nic więcej do roboty.

Rebeka zdumiona. Co to ma znaczyć? Zamyka drzwi i przystępuje bliżej. Czy pan powiedziałeś wszystko?

Rosmer. Teraz wie on już wszystko.

Kroll. My nie zostawimy cię tak, Rosmerze. Zmusimy cię, byś do nas powrócił.

Rosmer. Tam ja już nigdy nie wrócę.

Kroll. Zobaczymy — ty nie jesteś człowiekiem, któryby był w stanie pozostać samotnym na swem stanowisku.

Rosmer. Zupełnie samotnym nie pozostanę. — Jest tu nas dwoje, i samotność tę znieść potrafimy.

Kroll. Ah! — podejrzenie zaczyna w nim wzrastać. A więc i to jeszcze! Słowa Beaty —!

Rosmer. Beata?

Kroll odpędzając podejrzenie. Nie, nie, — to było haniebnem. — Przebacz.

Rosmer. Co?

Kroll. Nie mówmy o tem więcej. Fuj! Przebacz. Bywaj zdrów! Idzie do drzwi przedpokoju.

Rosmer idzie za nim. **Kroll!** Tak nie powinniśmy się rozstawać. Jutro przyjdę do ciebie.

Kroll w przedpokoju zwracając się do niego. Niech noga twa nie przestąpi progu mego domu! Bierz łaskę i wychodzi.

Rosmer stoi przez chwilę w otwartych drzwiach, potem je zamyka i zbliża się do stołu. To nic, Rebeko. Zniesiemy to jakoś. My oboje. Ty i ja.

Rebeka. Co on mógł mieć na myśli, kiedy powiedział: „Fuj“?

Rosmer. Najdroższa, nie troszcz się o to. Sam nie wiedział, o co mu idzi. Ale jutro pójdę do niego. Dobranoc!

Rebeka. Czy i dzisiejszego wieczora tak wczesnie idziesz do siebie? Po tem wszystkiem?

Rosmer. Dziś, tak jak zawsze. Tak mi spokojnie, że to wszystko już przeszło. Widzisz — jestem zupełnie spokojny, droga Rebeko. I ty przyjm to ze spokojem. Dobranoc!

Rebeka. Dobranoc, drogi przyjacielu! Śpij spokojnie! Rosmer wychodzi do przedpokoju, po chwili słysząc jego kroki na schodach. Rebeka pociąga za sznur od dzwonka koło pieca. Wnet potem wchodzi pani Helseth.

Rebeka. Może już pani kazać zdjąć nakrycie ze stołu, pani Helseth. Pastor nie chce nic jeść, — rektor zaś poszedł do domu.

P. Helseth. Rektor poszedł? Cóż mu się stało?

Rebeka biorąc robotę szydełkową. Przepowiadał, że groźna burza nadejdzie.

P. Helseth. Dziwna rzecz. Przecież jednej chmury nie ma na niebie.

Rebeka. Żeby tylko nie spotkał białego konia. Obawiam się bowiem, że wnet usłyszymy znowu o takim upiorze.

P. Helseth. Niech panią Bóg ma w swej opiece. Jak można mówić tak straszne rzeczy.

Rebeka. No, no, no.

P. Helseth ciszej. Czy pani naprawdę przypuszcza, że wnet znowu tu kogoś stracimy?

Rebeka. Wcale tego nie przypuszczam. Ale tyle jest rodzajai białych koni na świecie, pani Helseth. — A więc dobranoc. Idę już do mego pokoju.

P. Helseth. Dobranoc!

Rebeka wychodzi na prawo z robotą szydełkową.

P. Helseth przykręca lampę, potrząsa głową i mruży do siebie. Jezu — Jezu. Ta panna West. Co ona czasem mówi!

KONIEC AKTU I.

Akt II.

Gabinet Rosmera.

Przy ścianie z lewej strony drzwi wchodowe. W tyle drzwi prowadzące do sypialni zakryte zasłoną. Na prawo okno przed niem stół do pisania pokryty książkami i papierami. Szafy z książkami i pułki przy ścianach. Meble skromne. Na przodzie po lewej stronie staromodna kanapa, przed nią stół.

Jan Rosmer w ubraniu domowem siedzi przy stole w krześle z wysoką poręczą. Rozcina kartki jakiejś broszury, przegląda ją i czyta od czasu do czasu.

Ktoś puka do drzwi z lewej strony.

Rosmer nie odwracając się. Proszę wejść.

Rebeka West w stroju porannym wchodzi.

Rebeka. Dzień dobry.

Rosmer przegląda broszurę. Dzień dobry, moja droga. Czy życzysz sobie czego?

Rebeka. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy dobrze spałeś.

Rosmer. O, spałem tak dobrze, tak spokojnie. Żadnych snów. — Odwraca się. A ty—?

Rebeka. Dziękuję. Tak nad ranem.

Rosmer. Nie pamiętam, by mi kiedy tak swobodnie było na sercu jak teraz. Tak, rzeczywiście to dobrze, że mu wszystko powiedziałem.

Rebeka. Nie powinienesz być kryć się z tem tak długo, Rosmerze.

Rosmer. Sam nie pojmuję, jak mogłem być takim tchórzem.

Rebeka. No, nie pochodziło to znowu z tchórzostwa.

Rosmer. O, tak, tak, — gdy dobrze rozważę, było tam także i tchórzostwo.

Rebeka. Tem większej trzeba było odwagi do przecięcia węzła. — Siada na krześle przy stole do pisania. Ale teraz chcę ci opowiedzieć, co uczyniłam — ale nie powinienesz się gniewać.

Rosmer. Gniewać się? Ależ, moja droga, jak możesz przypuszczać?

Rebeka. Bo było to może zbyt samowolnie z mej strony, ale...

Rosmer. Mów, słucham.

Rebeka. Wczoraj wieczorem gdy Ulryk Brendel wychodził od nas, napisałam przez niego kilka słów do Mortensgarda.

Rosmer trochę zaniepokojony. Ależ kochana Rebeko. — No i co napisałaś?

Rebeka. Napisałam, że wyświadczyłby ci miłą przysługę, gdyby zechciał zaopiekować się trochę tym nieszczęśliwym człowiekiem i pomóc mu według możliwości.

Rosmer. Nie powinnaś była czynić tego, Rebeko. Zaszkodziłaś tylko Brendlowi. A Mortensgard jest człowiekiem, którego chcę trzymać od siebie zdaleka. Wiesz, co niegdyś zaszło między nami.

Rebeka. Czy nie sądzisz jednak, że o wiele lepiej byłoby, gdybyś z nim na przyjaźniejszej pozostawał stopie?

Rosmer. Ja — z Mortensgardem? skąd ci to przyszło?

Rebeka. Bo przecież nie możesz w zupełnym pozostać spokoju, — odkąd między tobą a twoimi przyjaciółmi...

Rosmer spogląda na nią i potrząsa głową. Czy naprawdę mogłabyś przypuszczać, że Kroll lub ktokolwiek inny zechce się mścić? — Że byliby w stanie—?

Rebeka. W pierwszym rozdrażnieniu, mój drogi — nikt napewno zareczyć nie może. — Sądzę tak — ze sposobu, w jaki rektor przyjął wiadomość.

Rosmer. Musiałabyś lepiej go poznać. Kroll jest nawskróś człowiekiem honorowym. Dziś po

południu pójdę do niego do miasta i rozmówię się z nim. Chcę z wszystkimi się rozmówić. Zobaczysz, jak to łatwo pójdzie.

Pani Helseth wchodzi drzwiami z lewej strony.

Rebeka. Czego sobie pani życzy, pani Helseth?

P. Helseth. Rektor Kroll jest na dole w przedpokoju.

Rosmer zrywa się z miejsca. Kroll!

Rebeka. Rektor! Nie, — pomyśl tylko—!

P. Helseth. Pyta się, czy może wejść na górę i widzieć się z panem pastorem.

Rosmer do Rebeki. A co, czy nie mówiłem! Naturalnie, że może. Idzie do drzwi i woła przez schody. Bardzo cię proszę, drogi przyjacielu! Witam cię z całego serca! Rosmer stoi przy drzwiach. Pani Helseth wychodzi. Rebeka zaciąga zasłonę na drzwi prowadzące do sypialni. Później tu i ówdzie coś poprawia. Rektor Kroll wchodzi z kapeluszem w rękę.

Rosmer cicho, ze wzruszeniem. Wiedziałem dobrze, że wczoraj nie byłeś tu raz już ostatni.

Kroll. Dziś widzę wszystko w innem zupełnie świetle jak wczoraj.

Rosmer. Nieprawdaż, Kroll? Teraz kiedy mogłeś się zastanowić...

Kroll. Złe zupełnie tłumaczysz sobie me słowa. Kładzie kapelusz na stole przed kanapą. W ważnej sprawie chciałbym z tobą w cztery oczy pomówić.

Rosmer. Dlaczegożby panna West nie miała—?

Rebeka. Nie, nie, panie Rosmerze. Idę już.

Kroll mierząc ją oczyma. Muszę jeszcze prosić panią o przebaczenie, że przyszedłem tak wcześnie i że zeszedłem panią, zanim pani miała czas...

Rebeka zmięszana. Jakto? Czyżby pan uważał za niestosowne, że tu w domu chodzę w porannym stroju?

Kroll. Broń Boże! Ja przecież nie mogę wiedzieć, jaki teraz obyczaj panuje w Rosmersholmie.

Rosmer. Ależ Krollu — jesteś dziś jakby zmienionym.

Rebeka. Polecam się, panie rektorze. Wychodzi na lewo.

Kroll. Pozwól, że usiądę. Siada na kanapie.

Rosmer. Tak, drogi przyjacielu, usiądźmy tu i poufnie pomówmy ze sobą. Siada na krześle naprzeciw rektora.

Kroll. Od wczoraj oka zmrużyć nie mogłem. Przez całą noc nie spałem i rozmyślałem.

Rosmer. I jakiego dziś jesteś zdania?

Kroll. To długa sprawa, Rosmerze. Pozwól, że zacznę pewnym rodzajem wstępu. Mogę ci coś powiedzieć o Ulryku Brendlu.

Rosmer. Czy był u ciebie?

Kroll. Nie. Poszedł do jakiegoś szynku, naturalnie w jak najgorszym towarzystwie. Pił i częstował tak długo, dopóki miał pieniądze. Później nazwał całe towarzystwo zbieraniną i hołotą. Miał w tem zresztą rację. Ale też oni go obili i wyrzucili na ulicę.

Rosmer. A więc jest on jednak niepoprawnym.

Kroll. Ubranie swoje zastawił. Znalazł się jednak ktoś, kto mu je wykupi. Czy nie domyślasz się kto?

Rosmer. Czy nie ty sam może?

Kroll. Nie. Ten szlachetny pan Mortensgard.

Rosmer. Ah, tak.

Kroll. Opowiadano mi, że pierwszą wizytę złożył Ulryk Brendel idyocie i plebeuszowi.

Rosmer. Bardzo to jednak szczęśliwie dla niego.

Kroll. Zapewne. Przechyla się do Rosmera przez stół. Teraz zaś przychodzimy do rzeczy, przed którą, w imię naszej starej — naszej dawnej przyjaźni, chciałbym cię przestrzedz.

Rosmer. Cóż to takiego, drogi przyjacielu?

Kroll. Idzie tu o to, że w twym domu ktoś po za twymi plecami knuje intrygi.

Rosmer. Jak możesz wierzyć w coś podobnego? Czy to do Rebeki — czy to do panny West, odnoszą się twe słowa?

Kroll. Tak właśnie. Pojmuję zupełnie jej postępowanie. Ona tu była panią czas tak długi. Mimo to jednak...

Rosmer. Jesteś w zupełnym błędzie, mój drogi. Ona i ja nie taimy przed sobą niczego.

Kroll. Czy i o tem także cię uwiadomiła, że rozpoczęła korespondencyę z redaktorem „Laterni morskiej“?

Rosmer. Ah, mówisz zapewne o tych kilku słowach, które napisała przez Ulryka Brendla?

Kroll. A więc się już dowiedziałeś. I pozwalasz na to, by ona w ten sposób nawiązywała stosunki z tym rycerzem skandalu, który każdego tygodnia usiłuje tak moją szkolną działalność jak i moje publiczne wystąpienia podać w powszechną pogardę.

Rosmer. Z tej strony nie zastanowiła się ona nawet z pewnością nad tą sprawą. A zresztą ma ona przecież zupełną swobodę działania, tak jak ja.

Kroll. Tak? Tak, to zapewne także należy do nowego kierunku, w którym teraz postępujesz —? Bo tam, gdzie ty stoisz, stoi zapewne także panna West.

Rosmer. Bezwątpienia. Oboje razem wyrobiliśmy w sobie te przekonania.

Kroll patrzy na niego i potrząsa głową. O, ty zaślepiony, w błąd wprowadzony człowieku!

Rosmer. Ja —? Skądże ci to znowu przyszło do głowy?

Kroll. Ponieważ gorszej jeszcze rzeczy, nie śmiem przypuszczać, nie chcę przypuszczać. Nie, nie, pozwól mi dokończyć. Czy naprawdę dbasz cokolwiek o mą przyjaźń, Rosmerze? I o moje poważanie? Co?

Rosmer. Na to pytanie nie potrzebuję chyba odpowiedzieć.

Kroll. Tak, ale są tu jeszcze inne rzeczy, które wymagają odpowiedzi i zupełnego wyjaśnienia z twojej strony. Czy zgodzisz się na to bym przeprowadził z tobą rodzaj śledztwa?

Rosmer. Śledztwa?

Kroll. Tak, abym cię o to i owo zapytał, czego wspomnienie być ci może przykrem. Widzisz, twoje odszczepieństwo, — czy też wyswobodzenie, jak je nazywasz, pozostaje w związku z wieloma innymi okolicznościami, z których dla twego własnego dobra, jasno zdawać sobie powinienś sprawę.

Rosmer. Drogi przyjacielu, pytaj o co chcesz. Nie mam co ukrywać.

Kroll. Powiedz mi więc, co uważasz za najistotniejszą przyczynę samobójczej śmierci Beaty?

Rosmer. Czy możesz mieć wątpliwości pod tym względem? Albo właściwiej się wyrażając, czy można pytać o przyczyny postępowania nieszcześliwej, chorej, niepoczytalnej kobiety?

Kroll. Czy jesteś zupełnie pewnym, że Beata była niepoczytalną? Wszak lekarze nie orzekli stanowczo, żeby tak było.

Rosmer. Gdyby lekarze widywali ją tak jak ja dniem i nocą, tak często ją widywałem, nie byłiby mieli wątpliwości.

Kroll. I ja też wtedy nie wątpiłem.

Rosmer. O, bo wtedy niestety wątpić nie było można. Opowiadałem ci o jej nieposkromionej,

dzikiej namiętności, którą chciała, bym i ja podzielał. Jakiegoż wtedy nabawiała mię strachu! A później w ostatnich latach bezpodstawne, niepokojące skargi na samą siebie.

Kroll. Tak, tak, gdy dowiedziała się, że przez całe życie nie będzie mieć dzieci.

Rosmer. A więc, rozważ sam — ta burzliwa straszna męczarnia z powodu czegoś zupełnie niezawinionego — ! I ona nie miałyby być poczytalną?

Kroll. Hm! Czy nie przypominasz sobie, żebyś miał w tym czasie w domu książki omawiające cel małżeństwa, według powszechnie przyjętych pojęć naszych czasów?

Rosmer. Przypominam sobie, że panna West jedno z takich dzieł mi pożyczyła. Bo wiesz, że odziedziczyła ona bibliotekę doktora. Ale kochany przyjacielu, nie przypuszczasz przecie, abyśmy byli tak nieostrożni i wtajemniczali biedną chorą w takie rzeczy. Mogę cię uroczyście zapewnić, że w nas niema żadnej winy. Jej własne zbłąkane i przeczulone nerwy zaprowadziły ją na bezdroża.

Kroll, To jedno ci tylko w każdym wypadku mogę powiedzieć, że biedna, zgryziona i ciągle się trapiąca Beata pozbawiła się przedewszystkiem życia dlatego, byś ty mógł żyć szczęśliwie, — swobodnie, — według upodobania.

Rosmer zrywając się z miejsca. Co chcesz przez to powiedzieć?

Kroll. Spokojnie teraz słuchać mię musisz, Rosmerze. Bo teraz właśnie chcę o tem mówić. W ostatnim roku życia była dwa razy u mnie w mieście, aby się użalić przedemną na swą rozpacz i zwątpienie.

Rosmer. Z tej przyczyny?

Kroll. Nie. Pierwszym razem twierdziła, że jesteś na drodze do odszczepieństwa. Że chcesz porzucić wiarę ojców.

Rosmer z zapałem. To co mówisz, jest niepodobieństwem! Zupełnem niepodobieństwem! Musisz się mylić.

Kroll. Dlaczegoż znowu?

Rosmer. Tak, bo jak długo Beata żyła, ja walczyłem jeszcze z wątpliwościami. A walkę tę ze sobą toczyłem sam w najzupełniejszej tajemnicy. Sądzę, że nawet Rebeka...

Kroll. Rebeka?

Rosmer. No, tak — panna West. Dla krótkości nazywam ją Rebeką.

Kroll. To już zauważyłem.

Rosmer. Dlatego jest mi niepojętem, w jaki sposób Beata na tę myśl wpaść mogła. I dlaczego ze mną samym o tem nie mówiła? A tego nie robiła nigdy. Nigdy jednym choćby słówkiem.

Kroll. Biedna — prosiła i zaklinała mnie, bym z tobą pomówił.

Rosmer. A dlaczego ty tego nie uczyniłeś?

Kroll. Czy mogłem wówczas choćby przez chwilę wątpić, że ona chorą jest na umyśle? Takie oskarżenie przeciw takiemu jak ty człowiekowi! — A później przyszła raz jeszcze, — w miesiąc potem. Na pozór była spokojniejszą, ale gdy odchodziła, rzekła: Teraz możecie wkrótce spodziewać się białego konia w Rosmersholmie.

Rosmer. Tak, tak. Biały koń — o nim mówiła tak często.

Kroll. Gdy zaś próbowałem rozprószyć te jej smutne myśli, rzekła tylko: Nie mam już wiele czasu. Bo teraz musi się Jan zaraz ożenić z Rebeką.

Rosmer zdumiony. Co ty mówisz? Ja, ożenić się z — !

Kroll. Było to w czwartek po południu. W sobotę wieczorem zaś rzuciła się z kładki do młyńskiego potoku.

Rosmer. A ty, ty nas nie ostrzegłeś — !

Kroll. Wiesz przecie sam, jak często dawała do zrozumienia, że z pewnością wkrótce umrze.

Rosmer. Tak, wiem to dobrze. Pomimo to jednak powinienes nas był przestrzedz!

Kroll. Miałem też ten zamiar. Ale już było zapóźno.

Rosmer. Dlaczego jednak po jej śmierci — ? Dlaczego o tem wszystkiem zamilczałeś?

Kroll. I pocóż miałem tu przychodzić i dręczyć cię i stare rany jątrzyć? Uważałem to

wszystko za puste i wybujałe rozgorączkowanie wyobraźni — aż do wczorajszego wieczoru.

Rosmer. Teraz więc innego jesteś zdania?

Kroll. Czyż Beata nie przewidywała jasno przyszłości, gdy mówiła, że odpadniesz od wiary ojców?

Rosmer patrzy osłupiałym wzrokiem przed siebie. Tak, nie pojmuję tego. To dla mnie jest właśnie rzeczą najbardziej zagadkową.

Kroll. Zagadkową, czy nie, niemniej jednak prawdziwą. A teraz pytam cię Rosmerze, ile jest prawdy w jej drugim oskarżeniu? Mam na myśli ostatnie.

Rosmer. Oskarżeniu? Czyż to było oskarżenie?

Kroll. Nie zwróciłeś może uwagi na brzmienie słów. Ona chciała odejść, powiedziała. — Dlaczego? No?

Rosmer. Tak, dlatego, bym ja się mógł ożenić z Rebeką.

Kroll. O nie tak brzmiały jej słowa. Beata wyraziła się inaczej. Powiedziała: Nie mam już wiele czasu. Bo teraz musi się Jan zaraz ożenić z Rebeką.

Rosmer patrzy na niego przez chwilę, później wstaje. Teraz cię rozumiem.

Kroll. No? Jaką dajesz odpowiedź?

Rosmer zawsze spokojnie i panując nad sobą. Na coś tak niesłychanego —? Jedyłą trafną odpowiedzią byłoby wskazać drzwi.

Kroll wstaje. Dobrze.

Rosmer stając przed nim. Posłuchaj mię teraz. Już przeszło od roku — od czasu śmierci Beaty — Rebeka West i ja mieszkaliśmy samotnie tu w Rosmersholmie. Przez cały ten czas tobie skarga Beaty była znaną. A jednak przez chwilę nawet nie zauważyłem, by nasze pożycie wywoływało w tobie zgorszenie.

Kroll. Wczoraj wieczorem dopiero dowiedziałem się, że to wspólne pożycie jest pożyciem odszczepieńca i — wyzwolonej kobiety.

Rosmer. Ah! Sądzisz zatem, że odszczepieńcy i ludzie wyzwoleni zachować nie mogą zmysłu czystości. Sądzisz, że poczucia moralnego nie można mieć w sobie jako wrodzony popęd przyrody?

Kroll. Nie budowałbym wiele na poczuciu moralnem, które nie ma swych podstaw w nauce kościoła.

Rosmer. I to zapatrywanie odnosisz także do mnie i do Rebeki? Do naszego wzajemnego stosunku?

Kroll. Na waszą korzyść zmieniać nie mogę przekonania, że niema wielkiej przepaści między wolną myślą i — hm.

Rosmer. I czem?

Kroll. I wolną miłością, — jeśli koniecznie chcesz słyszeć.

Rosmer cicho. I nie wstydzisz się mówić mi coś podobnego! Ty, co mię znasz od lat najmłodszych mego życia.

Kroll. Właśnie dlatego. Wiem, jak łatwo dajesz na siebie wpływać ludziom, z którymi przestajesz. A ta twoja Rebeka. No, ta panna West, jej właściwie bliżej nie znamy. Krótko mówiąc, Rosmerze, ja tak zostawić cię nie mogę. A i ty sam — ty sam musisz próbować, ratować się jeszcze zawczasu.

Rosmer. Ratować się? Przed czym?

Pani Helseth wchodzi z lewej strony.

Rosmer. Czego pani sobie życzy?

P. Helseth. Chciałam panią prosić, aby zeszła na dół.

Rosmer. Pani niema na górze.

P. Helseth. Tak. Rozgląda się. A to dziwne. Wychodzi.

Rosmer. Powiedziałaś więc?

Kroll. Posłuchaj. Co tutaj działo się w tajemnicy, za życia Beaty, i co się teraz jeszcze dzieje, — tego bliżej nie chcę dochodzić. Byłeś przecież tak bardzo nieszczęśliwym w małżeństwie. I to w gruncie rzeczy może cię usprawiedliwić.

Rosmer. O, jak ty naprawdę znasz mnie mało — !

Kroll. Nie przerywaj mi. Otóż chciałem powiedzieć, że jeżeli dalsze pożycie z panną West

trwać musi, — koniecznem jest, byś ty tę zmianę, to smutne odszczepieństwo, do którego ona cię nakłoniła — w tajemnicy zatrzymał. Pozwól mi mówić! Pozwól mi mówić! Otóż, jeśli tak już być musi koniecznie, możesz w imię boże, myśleć i wierzyć jak ci się podoba, zarówno w jednym jak i drugim kierunku. Ale zapatrywania twe przynajmniej zatrzymaj dla siebie. Przecież to czysto osobista sprawa. Zupełnie niema potrzeby, by takie rzeczy rozgłaszać po całym kraju.

Rosmer. Dla mnie jednak potrzeba, bym się wydzwignął z fałszywego i dwuznacznego stanowiska.

Kroll. Ależ ty masz przedewszystkiem obowiązki względem tradycyi twego rodu, Rosmerze! Nie zapominaj o tem! Rosmersholm od niepamiętnych czasów był zawsze miejscem, skąd szerzył się ład i porządek — pełne szacunku i poważania dla tego, co najznamienitsi członkowie naszego społeczeństwa za dobre uznali. Cała okolica piętno owe otrzymywała z Rosmersholmu. Gdyby się szerzyła pogłoska, że ty zerwałeś z tem, co jabym chciał nazwać ideą rodziny Rosmerów, mogłoby powstać nieszczęsne, niedające się więcej naprawić zamieszanie.

Rosmer. W ten sposób, mój drogi, na tę sprawę zapatrywać się nie można. Ja sądzę, że obowiązkiem moim, przed którym uchylać mi się nie wolno, jest, stworzyć tu więcej światła i za-

dowolenia, tu, gdzie ród Rosmerów przez długi, długi czas szerzył tylko ucisk i ciemnotę.

Kroll surowo patrzy na niego. Tak, to byłaby rzecz godna męża, na którym ród ten wygasa. Zechciej lepiej dać temu pokój. To nieodpowiednia dla ciebie praca. Ty jesteś stworzony tylko do życia cichego badacza.

Rosmer. Tak, być może. Ale i ja teraz pragnę raz wziąć udział w walce życiowej.

Kroll. Walka życiowa — a wiesz ty, czem ona dla ciebie się stanie! Walką na śmierć i życie z twoimi przyjaciółmi.

Rosmer cicho. Przecież oni nie wszyscy są takimi fanatykami jak ty.

Kroll. Niepodejrzliwą duszą jesteś, Rosmerze. I niedoświadczoną. Nie przeczuwasz nawet, jak gwałtowna burza nad tobą zawisnie.

Pani Helseth zagląda przez drzwi z lewej strony.

P. Helseth. Chciałam się pani zapytać...

Rosmer. Co znowu?

P. Helseth. Na dole jest ktoś, który życzy sobie pomówić z panem pastorem.

Rosmer. Czy może ten sam, co był tu wczoraj?

P. Helseth. Nie, to Mortensgard!

Rosmer. Mortensgard!

Kroll. Aha! Więc tak daleko już zaszliśmy! Tak daleko.

Rosmer. Czego on chce odemnie? Dlaczego go pani nie odprawiła?

P. Helseth. Panna West powiedziała, że mam się zapytać, czy go pan przyjmie.

Rosmer. Proszę mu powiedzieć, że jest tu ktoś...

Kroll do pani Helseth. Proszę go tu wpuścić. Pani Helseth wychodzi.

Kroll biorąc kapelusz. Ustępuję z placu — na razie. Ale walna bitwa jeszcze nie nastąpiła.

Rosmer. Zapewniam cię, mój drogi, że nie mam wspólnego z Mortensgardem.

Kroll. Nie wierzę ci już więcej. I to pod żadnym względem. Od dziś dnia nie wierzę ci w żadnej sprawie. Teraz rozpocznie się walka na ostre. Zobaczymy, czy i ciebie nie da się uczynić nieszkodliwym.

Rosmer. O Krollu, jak nisko, jak bardzo nisko ty teraz stoisz.

Kroll. Ja—? I to mówi taki jak ty człowiek? Pomyśl tylko o Beacie!

Rosmer. Znowu wracasz do tego samego.

Kroll. Nie. Zagadkę młyńskiego potoku musisz ty sam rozwiązać według twego sumienia, jeśli je jeszcze wogóle posiadasz.

Piotr Mortensgard wchodzi cicho drzwiami wpośrodku na lewo. Mały wąty człowiek z rzadkim rudawym włosom na głowie i brodzie.

Kroll mierzy go nienawistnem spojrzeniem. A więc „Latarnia morska.“ Zapalona na Rosmersholmie. Tak, teraz nie mogę już dłużej mieć wątpliwości, jakiego kursu trzymać mi się należy.

Mortensgard pojednawczo. „Latarnia morska“ zawsze płonać będzie, jeśli będzie szło o to, by panu rektorowi oświecać drogę powrotną.

Kroll. Tak, okazywałeś pan aż nazbyt długo swe dobre chęci. Istnieje przecież przykazanie, które mówi, że nie powinniśmy fałszywego przeciw bliźnim składać świadectwa.

Mortensgard. Pan rektor nie potrzebuje pouczać mię o przykazaniach.

Kroll. Czy nawet o szóstym nie?

Rosmer. Kroll!

Mortensgard. Jeśli w ogóle zachodzi potrzeba, to pan pastor przedewszystkiem jest do tego powołany.

Kroll z ukrytem szyderstwem. Pan pastor? Tak, bez wątpienia, pastor Rosmer w tej sprawie jest najbardziej powołanym. Przyjemnej rozmowy, moi panowie. Wychodzi zatrzaskując drzwi za sobą.

Rosmer spogląda na drzwi i mówi do siebie. Niech i tak będzie. Odwraca się. Czy mogę zapytać, panie Mortensgard, co pana do mnie sprowadza?

Mortensgard. Właściwie szukałem panny West. Sądziłem, że należy podziękować jej za list, który od niej wczoraj odebrałem.

Rosmer. Wiem, że pisała do pana. Czy pan z nią mówił?

Mortensgard. Tak, trochę. Ze słabym uśmiechem. Słyszę, że na Rosmersholmie zmieniły się nieco poglądy pod tym i owym względem.

Rosmer. Poglądy moje pod pewnym względem się zmieniły. Mogę nawet powiedzieć, że prawie pod każdym.

Mortensgard. Panna West to mi mówiła. I dlatego, sądziła, że należy mi z panem pastorem się zobaczyć i trochę tę sprawę omówić.

Rosmer. Jaką sprawę?

Mortensgard. Czy mogę w „Latarni morskiej” obwieścić, że pan zmienił swe zapatrywania i że pan łączy się z sprawą postępu i wolności.

Rosmer. Może pan to uczynić. Proszę nawet, aby pan to obwieścił.

Mortensgard. A więc obwieszczę to już jutro rano. Będzie to wielka i ważna wiadomość, że pastor Rosmer z Rosmersholmu mniema, iż może także ze swego stanowiska walczyć za sprawę postępu.

Rosmer. Nie rozumiem pana dobrze.

Mortensgard. Mówię mianowicie, że nasze stronnictwo zyska silną moralną podporę, gdy w jego szeregi wejdzie poważny, po chrześcijańsku myślący człowiek.

Rosmer nieco zdziwiony. A więc pan jeszcze nie wie—? Czy panna West tego także nie powiedziała?

Mortensgard. Czego, panie pastorze? Panna West spieszyła się bardzo. Powiedziała tylko, że

mam iść na górę i że reszty dowiem się od pana.

Rosmer. A więc powiem panu, że wyswodziłem się w zupełności. W każdym kierunku. Z nauką kościoła nie łączą mnie już teraz żadne związki. Od tej chwili sprawy te zupełnie mnie nie obchodzą.

Mortensgard patrzy na niego ze zdziwieniem. Nie, gdyby teraz księżyc spadł pod moje stopy, nie dziwiłbym się więcej. — Pastor sam wyrzeka się!...

Rosmer. Tak, ja teraz stoję tam, gdzie pan sam stoi od dawna. I to właśnie może pan jutro w „Latarni morskiej“ ogłosić.

Mortensgard. I to także? Nie, drogi panie pastorze — wybaczone panu, ale się nie opłaci z tej strony poruszyć tę sprawę.

Rosmer. A więc jej nie poruszać?

Mortensgard. Nie teraz jeszcze, sądzę.

Rosmer. Ależ ja nie pojmuję...

Mortensgard. Widzi pan, panie pastorze — sądzę, że pan nie zna tak dobrze stosunków, jak ja. Otóż jeżeli pan przeszedł do partii wolnomyślniej i jeżeli pan — jak mówi panna West — chce wziąć udział w jej ruchu, to czyni pan to zapewne z życzeniem, by temu kierunkowi i ruchowi o ile możliwości jak najbardziej stać się pożytecznym.

Rosmer. Tak, serdecznie bym tego pragnął.

Mortensgard. A więc muszę panu oświadczyć, panie pastorze, że gdyby pan otwarcie wyznał swe zerwanie z kościołem, zaraz na wstępie związałby pan sobie rękę.

Rosmer. Tak pan sądzisz?

Mortensgard. Tak, możesz być pan pewny, że nie wiele mógłby pan wtedy zdziałać. Prócz tego, panie pastorze — wolnomyślnych mamy już aż nadto dosyć. Można by nawet powiedzieć, że mamy ich nawet za wielu. Stronnictwo potrzebuje teraz chrześcijańskich żywiołów, które każdy szanować musi. Na tem właśnie nam zbywa. Dlatego najrozsądniejby było, gdyby pan przemilczał to, czem publiczność z resztą się nie interesuje. Takie jest moje zdanie.

Rosmer. Tak. A więc pan nie miałbyś odwagi złączyć się ze mną, gdybym otwarcie wyznał moje oderwanie się od kościoła?

Mortensgard potrząsa głową. Niechętnie bym to uczynił panie pastorze. Od pewnego czasu postawiłem sobie za zasadę, nikogo i niczego nie wspierać, co z kościołem walkę rozpoczyna.

Rosmer. Czyżby pan sam w ostatnich czasach nawrócił się do kościoła?

Mortensgard. Dajmy pokój tej kwestyi.

Rosmer. A więc tak rzeczy stoją. Rozumiem pana.

Mortensgard. Niech pan pastor nie zapomina, że ja, szczególnie ja, nie mam zupełnej wolności działania.

Rosmer. Cóż pana krępuje?

Mortensgard. Ja jestem napiętnowanym człowiekiem — to mnie krępuje.

Rosmer. Ah, tak!

Mostensgard. Jestem napiętnowanym człowiekiem, panie pastorze. O tem pan zwłaszcza zapominać nie powinien. Bo przecie pan pierwszym na mnie to piętno wycisnąłeś.

Rosmer. Gdybym wówczas miał te przekonania, które mam dzisiaj, byłbym z większą ostrożnością pańskie przewinienie traktował.

Mortensgard. I ja tak myślę. Ale teraz już zapóźno. Napiętnowałeś mię pan raz na zawsze. Na całe życie. Nie pojmujesz pan może nawet, jakie to skutki za sobą pociąga. A teraz pan sam wkrótce doznać możesz tej boleści, panie pastorze.

Rosmer. Ja?

Mortensgard. Tak. Nie przypuszczasz pan przecie, by rektor Kroll i jego otoczenie wybaczały takie grzechy, jak pańskie? A mówią, że „Gazeta urzędowa“ ma teraz stać się bardzo krwiozerczą. Może już stało się nawet, że pan jesteś napiętnowanym człowiekiem.

Rosmer. Prywatne moje życie nie da się zaczepić, panie Mortensgard. Moja przeszłość jest nieskalana.

Mortensgard ze spokojnym uśmiechem. To wielkie słowo, panie pastorze.

Rosmer. Być może. Ale ja mam prawo użyć tak wielkiego słowa.

Mortensgard. Nawet, gdyby pan swe czynności tak dokładnie zbażał, jak niegdyś pan zbażał moje.

Rosmer. Pan mówi to tak dziwnie. O co panu właściwie idzie? Czy ma pan na myśli coś określonego?

Mortensgard. Tak, to rzecz określona. Jedyna tylko wprawdzie. Ale i ta mogłaby się okazać dość niemiłą w skutkach, gdyby złośliwi przeciwnicy podali ją do publicznej wiadomości.

Rosmer. Zechciej mi pan powiedzieć łaskawie, coż to jest takiego.

Mortensgard. Czy pan pastor sam nie może się domyślić?

Rosmer. Nie, zupełnie nie. W żaden sposób.

Mortensgard. Tak, tak, a więc muszę to wypowiedzieć. Mam w posiadaniu szczególny list, pisany tu w Rosmersholmie.

Rosmer. List panny West? Czy jest on tak szczególnym?

Mortensgard. Nie, ten list bardzo szczególnym nie jest. Ale kiedyś otrzymałem stąd inny jeszcze list.

Rosmer. Także od panny West?

Mortensgard. Nie, panie pastorze.

Rosmer. A więc od kogo? Od kogo?

Mortensgard. Od nieboszczki żony pańskiej.

Rosmer. Od mojej żony! Pan otrzymał list od mojej żony?

Mortensgard. Tak jest.

Rosmer. Kiedy?

Mortensgard. Było to w ostatnim roku życia nieboszczki. Dziś już kilka lat znowu upłynęło. A list jest tak dziwnym.

Rosmer. Pan wie zapewne, że żona moja była wtedy chorą na umyśle.

Mortensgard. Wiem, że wielu tak utrzymywało. Po tym liście jednak poznaćby tego nie można. Jeżeli powiedziałem, że ten list jest bardzo szczególny, zgoła co innego miałem na myśli.

Rosmer. I o czym właściwie biedna moja żona pisać mogła do pana?

Mortensgard. Mam ten list w domu. Zaczyna go mniej więcej wyznaniem, że żyje w wielkim strachu i przerażeniu. Bo, jak pisze, tylu złych ludzi jest tu w okolicy. Wszyscy zaś myślą tylko o tem, by panu zmartwienie lub krzywdę wyrządzić.

Rosmer. Mnie?

Mortensgard. Taki jest ustęp listu. Teraz jednak przychodzi rzecz najdziwniejsza. Czy mam ją powiedzieć, panie pastarze?

Rosmer. Ależ naturalnie! Wszystko. Bez zastrzeżeń.

Mortensgard. Nieboszczka żona pańska prosi mnie i błaga, bym był wspaniałomyślnym. Wie, jak pisze, że pan pastor kazał mię złożyć z urzędu nauczyciela. I serdecznie prosi, bym ja nie szukał zemsty.

Rosmer. I w jakiż sposób, jej zdaniem, mógł pan na mnie szukać zemsty?

Mortensgard. W liście tym pisze, że gdyby doszły mnie wieści, iż w Rosmersholmie grzeszne dzieją się rzeczy, bym w pogłoski takie nie wierzył; głyż to tylko źli ludzie je rozszerzają, aby pana nieszczęśliwym uczynić.

Rosmer. Ona tak pisze?

Mortensgard. Pan pastor może sam przy sposobności przeczytać.

Rosmer. Ależ ja nie rozumiem—! Jakiż cel według jej przypuszczenia te złe pogłoski mieć mogły?

Mortensgard. Po pierwsze, że pan pastor odpadł od wiary ojców. Temu stanowczo zaprzeczała nieboszczka — wówczas. A później — hm...

Rosmer. A później?

Mortensgard. A później pisze — i to jest właśnie najbardziej niejasne, że nie wie o żadnym

grzesznym stosunku w Rosmersholmie. Że nikt nie wyrządził jej krzywdy. A gdyby pogłoski tego rodzaju obiegały, prosi mię, bym ich nie poruszał w „Latarni morskiej.“

Rosmer. Czy żadne nazwisko nie jest wymienione.

Mortensgard. Nie.

Rosmer. Kto panu list przyniósł?

Mortensgard. Przyrzekłem, że tego nikomu nie powiem. Przyniesiono mi go pewnego wieczora o zmierzchu.

Rosmer. Gdyby pan zaraz zasięgnął wiadomości, byłby się pan dowiedział, że moja biedna, nieszczęśliwa żona nie zupełnie była poczytalną.

Mortensgard. Zasięgałem też wiadomości, panie pastorze. Nie mogę jednak powiedzieć, bym takie właśnie odniósł wrażenie.

Rosmer. Tak? Dlaczego jednak teraz mi pan udziela wyjaśnień, co do tego starego, tak bardzo zawikłanego listu?

Mortensgard. Aby panu zarazem, panie pastorze, udzielić rady, że należy być bardzo ostrożnym.

Rosmer. W mym trybie życia, sądzi pan?

Mortensgard. Tak. Musi pan ciągle pamiętać, że od dziś nie jest pan już osobą uświęconą.

Rosmer. A więc pan pozostaje przy tem, że tu jest coś do ukrywania?

Mortensgard. Nie wiem, dlaczego wyzwolony człowiek miałby się wahać używać życia o tyle, o ile możność pozwala. Ale niech pan od dzisiaj będzie ostrożnym! Gdyby taka lub owaka pogłoska wypłynęła na wierzch, która sprzeciwia się przesądom, może być pan pewnym, że na cały wolnomyślny kierunek ciężkieby spadły zarzuty. Do widzenia, panie pastorze.

Rosmer. Do widzenia.

Mortensgard. A teraz idę prosto do drukarni i umieszczę wielką nowinę w „Latarni morskiej.“

Rosmer. Tak, niech pan wszystko umieści.

Mortensgard. Umieszczę wszystko, czego ludzie dobrze myślący dowiedzieć się powinni. Kłania się i wychodzi. Gdy schodzi po schodach, Rosmer stoi przy drzwiach. Słysząc, jak zamykają drzwi domu.

Rosmer w drzwiach stłumionym głosem. Rebeka! Re — pani głośno Pani Helseth, czy panna West jest tam na dole?

P. Helseth z przedpokoju. Nie, panie pastorze, tu jej nie ma. Zastona w tyle się usuwa. Rebeka staje w drzwiach.

Rebeka. Rosmerze!

Rosmer odwracając się. Co! byłaś w moim sypialnym pokoju! Cóżeś tam robiła, moja droga?

Rebeka idąc do niego. Słyszałam wszystko.

Rosmer. Ależ, Rebeko, jakżeż mogłaś!

Rebeka. Mogłam jednak. Wyraził się tak opryskliwie — o moim rannym stroju.

Rosmer. Ah, więc byłaś tam także, gdy Kroll — ?

Rebeka. Tak. Chciałam się dowiedzieć, co właściwie pod jego słowami się ukrywa.

Rosmer. Byłbym ci przecież to powiedział.

Rebeka. Nie byłbyś mi powiedział wszystkiego. A z pewnością nie takimi wyrażeniami, jakich on użył.

Rosmer. Więc słyszałaś wszystko?

Rebeka. Większą część przynajmniej. Musiałam wyjść na chwilę, gdy Mortensgard przyszedł.

Rosmer. A później wróciłaś znowu?

Rebeka. Nie gniewaj się na mnie z tego powodu. kochany przyjacielu.

Rosmer. Wszystko możesz robić, co uważasz za stosowne. Masz przecie zupełną swobodę. Co jednak teraz mówisz na to, Rebeko? O zdaje mi się, że nigdy jeszcze bardziej cię nie potrzebowałem jak teraz.

Rebeka. Byliśmy przecie oboje przygotowani na to, co kiedyś stać się musiało.

Rosmer. Nie, nie. — Na to nie.

Rebeka. Na to nie?

Rosmer. Przypuszczałem wprawdzie, że nasz czysty, szlachetny przyjazny związek stanie się kiedyś podejrzanym i zostanie zbezczeszczonym. Ale nie przez Krolla. Od niego nigdy czegoś podobnego się nie spodziewałem. Chyba tylko od tłumu o dzikich instynktach i brudnem spojrzeniu. O, tak, ja miałem swoje przyczyny, starając

się tak zazdrośnie związek nasz tajemnicą osłonić. Była to tajemnica niebezpieczna.

Rebeka. Dlaczegoż znowu troszczyć byśmy się mieli o sąd innych! Wiemy przecież, że wina na nas nie ciąży.

Rosmer. Na mnie? Czy na mnie wina nie ciąży? Tak sądziłem — do dnia dzisiejszego. Ale teraz, teraz, Rebeko...

Rebeka. Ale teraz?

Rosmer. Jakżeż mam sobie wytłómaczyć straszne oskarżenie Beaty?

Rebeka gwałtownie. O, nie mów o Beacie! Nie myśl więcej o niej! Dopiero niedawno śmierć jej przestała cię dręczyć.

Rosmer. Odkąd tyle nowych otrzymałem wiadomości ona znowu dla mnie ożyła i dręczyć mnie poczyną.

Rebeka. O, nie — ty nie powinienes, Rosmerze—! Ty nie powinienes—!

Rosmer. Muszę, zapewniam cię. Musimy spróbować zbadać tę rzecz gruntownie. W jaki sposób mogła ona tak błędnie, tak opacznie wszystko sobie tłómaczyć?

Rebeka. Przecież nie wątpisz chyba, że ona była prawie obłąkaną?

Rosmer. Otóż tego właśnie teraz już zupełnie nie jestem pewny. A zresztą, choćby i tak było?

Rebeka. A więc, gdyby tak było? Cóż wtedy?...

Rosmer. Zastanawiałbym się, gdzie należy szukać istotnej przyczyny, że obłąkanie dotknęło jej chorego umysłu?

Rebeka. I cóż ci przyjdzie z takiego gubienia się w badaniach i dociekaniach?

Rosmer. Nie mogę inaczej sobie postąpić, Rebeko. Nie mogę pozbyć się tych gryzących wątpliwości, choćbym chciał nawet.

Rebeka. Ciągłe krążenie koło takiej zagadki — może się nawet okazać niebezpiecznem.

Rosmer zamyślony chodzi niespokojnie tam i napowrót. Musiałem zdradzić się w jakikolwiek sposób. Ona musiała spostrzedz, jak szczęśliwym stałem się od dnia, w którym ty do nas przybyłaś.

Rebeka. Ależ, drogi przyjacielu, choćby nawet i tak było!

Rosmer. Widzisz, — musiała spostrzedz, że my czytaliśmy te same książki. Że szukaliśmy się nawzajem i porozumiewaliśmy we wszystkich sprawach. Ale nie rozumiem, w jaki sposób! Bo przecież ja tak troskliwie starałem się ją oszczędzać. Gdy cofnę się myślą wstecz, wydaje mi się, że o własne życie tak się nie starałem, jak o to by ją zdala trzymać od świadomości o całym naszym stosunku. Czyż nie tak było, Rebeko?

Rebeka. Tak, tak, w rzeczy samej.

Rosmer. A i ty także. A jednak —! Straszna to rzecz, nawet o tem pomyśleć! Ona w chorej swej miłości dotknięta, milczała i milczała —

obserwowała nas — i tłómaczyła sobie wszystko fałszywie.

Rebeka załamuje ręce. O, niepowinnam była nigdy przyjeżdżać do Rosmersholmu!

Rosmer. I gdy pomyślę, co ona w milczeniu wycierpiała! To wszystko, co chorym mózgiem przypuszczała, musiała zestawiać i łączyć w jedną całość. Czy nie mówiła nigdy z tobą o czemś podobnem, coby cię na ślad naprowadzić mogło?

Rebeka podrażniona. Ze mną! Czy myślisz, że byłabym w takim razie choć jeden dzień dłużej tu pozostała?

Rosmer. Ależ tak, tak, naturalnie. O jak straszną musiała stoczyć ze sobą walkę. I stoczyć ją sama, Rebeko. Zrozpaczona i zupełnie sama. A później to poruszające do głębi i — oskarżające zwycięstwo — w młyńskim potoku! Rzuca się na krzesło, opiera o stół i zakrywa twarz rękoma.

Rebeka ostrożnie z tyłu do niego podchodząc. Posłuchaj mię, teraz Rosmerze. Gdyby było w twojej mocy, Beatę nazad z grobu do siebie, do Rosmersholmu powołać, czybyś to uczynił?

Rosmer. Czy ja wiem, cobym uczynił lub nie. O niczem innem myśleć teraz nie mogę jak o tem, co jest — nieodwołalne.

Rebeka. Teraz powinienes rozpocząć żyć na nowo, Rosmerze. Rozpocząłeś już nawet. Wyswobodziłeś się zupełnie i we wszystkich kierunkach. Czuleś się tak wesołym i zadowolonym...

Rosmer. O tak, w rzeczy samej. A teraz przygniótł mię ten straszny ciężar.

Rebeka opierając się o poręcz krzesła ramionami. Jak błógiego doznawaliśmy uczucia, siedząc o zmierzchu tam na dole w pokoju. Mieliśmy wspierać się wzajemnie i razem układać plan przyszłego życia. Ty chciałeś wziąć udział w biegu wypadków, chciałeś, jak mówiłeś żyć istotnym trybem wydarzeń. Jako gość niezależny, mający wyswobadzać, chciałeś od jednego ogniska do drugiego przechodzić. Zdobyć dla siebie pragnąłeś ducha i wolę. Wytworzyć naokół siebie i w coraz to szerszych i dalszych kołach pokolenie ludzi szlachetnych. Ludzi szlachetnych.

Rosmer. Ludzi szlachetnych, zadowolonych z siebie.

Rebeka. Tak, zadowolonych z siebie.

Rosmer. Bo zadowolenie z siebie uszlachetnia ludzi, Rebeko.

Rebeka. Czy nie sądzisz, że także — cierpienie? Wielkie cierpienie?

Rosmer. Tak — gdyby je można opanować. Opanować zupełnie.

Rebeka. To właśnie ty musisz uczynić.

Rosmer pochylając głowę smutnie. Ja opanować go nigdy nie będę wstanie — w zupełności. Zawsze pozostaną we mnie wątpliwości, zapytania. Nigdy nie będę mógł uspokoić się w tem, co życie czyni szczęśliwym.

Rebeka ciszej mówi przez poręcz krzesła. Co chcesz przez to wyrazić?

Rosmer spoglądając na nią. Ciche, uszczęśliwiający przekonanie o własnej niewinności.

Rebeka cofając się krok. Tak. Przekonanie o własnej niewinności. chwila milczenia.

Rosmer opierając się łokciami o stół, patrzy przed siebie. Jak zręcznie zaś umiała wszystko sobie układać. Jak systematycznie łączyła jedno z drugim. Naprzód zrodziły się w jej umyśle wątpliwości co do mej wiary. W jaki sposób mogła ona wtedy wpaść na to? A jednak wpadła. Wkrótce wątpliwości te stały się pewnością. A później — tak, później łatwo jej przyszło i wszystko inne za wątpliwe uważać. Poprawia się na krześle i przesuwając ręką do włosów. O, te wszystkie, nieokietzane przywidzenia! Wracają one zawsze. Czuję to dobrze. Wiem o tem. W każdej godzinie cisną się do mej głowy i wywołują wspomnienie zmarłej.

Rebeka. Jak biały koń z Rosmersholmu.

Rosmer. Tak, tak samo. W ciemnościach czołgają się naokół mnie wśród ciszy i spokoju.

Rebeka. I dla tych nieszczęsnych przywidzeń miałbyś odsunąć się od rzeczywistego życia, w którym zacząłeś już brać udział?

Rosmer. Masz słuszność. Życie jest twarde, Rebeko. Bardzo twarde. Ale ja nie jestem już

w możności uczynienia wyboru. W jaki sposób mógłbym wybrnąć z koła mych przywidzeń!

Rebeka za krzesłem Rosmera. Stwarzając sobie nowe stosunki.

Rosmer spogląda na nią zmieszany. Nowe stosunki!

Rebeka. Tak, nowe stosunki ze światem. Żyj, rozpocznij działać. Nie bądź bezczynnym i nie oddawaj się próżnym rozmyślaniom nad nie dającymi się rozwiązać zagadkami.

Rosmer wstaje. Nowe stosunki? chodzi tam i na powrót, staje przy drzwiach i wraca na środek pokoju. Przychodzi mi na myśl jedno pytanie. Czy domyślasz się tego pytania, Rebeko?

Rebeka oddechając ciężko. Powiedz, co masz na myśli?

Rosmer. W jaki sposób twojem zdaniem, mają się od dnia dzisiejszego nasze stosunki ułożyć?

Rebeka. Sądzę, że nasza przyjaźń przetrwa wszystko, cokolwiekby się wydarzyło.

Rebeka. Nie o to mi idzie. Ale to, co nas od początku zbliżyło do siebie, — to, co nas silnie ze sobą złączyło — nasza wspólna wiara w czyste pożycie mężczyzny i kobiety...

Rebeka. Cóż dalej?

Rosmer. Zapytuję się, czy stosunek taki, jaki nas łączy, nie nadaje się najbardziej do stworzenia sobie życia wśród cichego, szczęśliwego spokoju—?

Rebeka. Cóż dalej?

Rosmer. Teraz zaś otwiera się przedemną droga pełna burz i walk i silnych wstrząśnień umysłu. Bo ja chcę żyć według swych zasad, Rebeko. Nie chcę dać się zwyciężyć strasznym przywidzeniom. Nie dam wpłynąć na mój tryb życia ani żywym, ani — nikomu innemu.

Rebeka. Tak, uczynź to, Rosmerze. Bądź wolnym i wyswobodzonym człowiekiem!

Rosmer. Wiesz jednak, co mi teraz na myśl przychodzi? Nie domyślasz się? Czy nie widzisz, w jaki sposób najłatwiej mogę się wyswobodzić od tych męczących wspomnień, od widma całej ponurej przeszłości?

Rebeka. No?

Rosmer. Otóż przeciwstawiając im żywą rzeczywistość.

Rebeka opierając się o krzesło. Żywą rzeczywistość—? Co to ma znaczyć?

Rosmer przybliżając się. Rebeko — gdybym się ciebie teraz zapytał, czy chcesz zostać moją drugą żoną?

Rebeka przez chwilę oniemiała, później z radosnym okrzykiem. Twoją żoną! Twoją—! Ja!

Rosmer. Dobrze. Spróbujmy. Stańmy się jednym ciałem i jedną duszą. Opróżnione miejsce po zmarłej musi być teraz zajęte.

Rebeka. Ja — na miejscu Beaty!

Rosmer. Wtedy dopiero z księgi mego życia jej nazwisko wykreślone będzie. Wymazanem zupełnie... Raz na zawsze...

Rebeka drząc mówi po cicho. Tak sądzisz, Rosmerze?

Rosmer. Tak się stać może! Tak się stać musi! Ja nie mogę, ja nie chcę dźwigać ze sobą trupa przez całe życie. Pomóż mi zrzucić ten ciężar, Rebeko. A później w szczęściu, radości, swobodzie, namiętnej żądzy stłumimy wspomnienia przeszłości. Ty będziesz jedyną moją małżonką, jedyną kobietą, którą kiedykolwiek posiadałem.

Rebeka opanowując wzruszenie. Nie mów mi nigdy więcej o tem. Nigdy żoną twoją nie zostanę.

Rosmer. Jakto! Nigdy! Więc sądzisz, że nie będziesz mi mogła pokochać? Czyż już przyjaźń nasza nie jest rękojmnią przyszłej miłości!

Rebeka przestraszona zasłania sobie uszy. Nie mów tak, Rosmerze! Nie powtarzaj tych słów!

Rosmer chwytając ją za rękę. Tak, tak. Nasza przyjaźń jest rękojmnią przyszłej miłości. W oczach twych widzę, że czujesz tak samo jak ja. Nieprawdaż, Rebeko?

Rebeka silnie i stanowczo. Posłuchaj, jeśli dłużej tak do mnie mówić będziesz, — wyjadę stąd natychmiast.

Rosmer. Wyjedziesz! Ty! Nie możesz tego uczynić. To niepodobieństwo.

Rebeka. Większem jeszcze niepodobieństwem jest, bym żoną twą została. Nigdy nią zostać nie mogę.

Rosmer patrzy na nią zmięszany. Mówisz „nie mogę“. I słowa te tak dziwnie brzmią w twych ustach. Dlaczego nie możesz?

Rebeka biorąc go za obie ręce. Drogi przyjacielu, na twoje i moje dobro zaklinam cię, nie pytaj oto. Puszcza jego ręce. Teraz już ani słowa więcej o tem, Rosmerze. Idzie do drzwi na lewo.

Rosmer. Od dnia dzisiejszego jedno tylko będę miał na ustach pytanie — dlaczego?

Rebeka odwraca się i spogląda na niego. Wtedy wszystko się skończy.

Rosmer. Między nami?

Rebeka. Tak.

Rosmer. Stosunki nasze nigdy końca mieć nie mogą. Ty nigdy nie opuścisz Rosmersholmu.

Rebeka bierze za klamkę. Tak tego zapewne nie uczynię. Pomimo to jednak, jeśli nawet zadawać mi będziesz takie pytania — stosunki nasze się zakończą.

Rosmer. Pomimo tego się zakończą? W jaki sposób — ?

Rebeka. Bo wtedy ja pójdę tą drogą, którą poszła Beata. Teraz wiesz wszystko, Rosmerze.

Rosmer. Rebeko!

Rebeka wychodząc powoli. Teraz wiesz wszystko.

Rosmer zatopiony w myślach patrzy na drzwi i mówi do siebie. Co to wszystko znaczy?

KONIEC AKTU II.

Akt III.

Pokój w Rosmersholmie.

Okna i drzwi do przedpokoju otwarte. Słońce prześwieca do pokoju. **Rebeka West**, ubrana tak samo jak w akcie pierwszym, stoi przy oknie polewa kwiaty i krząta się koło nich. Robota szydełkowa leży na krześle. **Pani Helseth** okurza meble.

Rebeka po chwili milczenia. Dziwna rzecz, dlaczego pastor tak długo dziś siedzi w swym pokoju na górze.

P. Helseth. O, to zdarza się przecież dość często. Myślę jednak, że wkrótce zejdzie.

Rebeka. Czy pani go dziś widziała?

P. Helseth. Kiedy mu niosłam kawę, szedł właśnie do sypialnego pokoju, aby się ubrać.

Rebeka. Pytam się dlatego, że pastor wczoraj czuł się trochę niedobrze.

P. Helseth. Znać to było nawet po nim. Zda je mi się także, że coś zaszło pomiędzy nim a szwagrem.

Rebeka. Jak pani myśli, coś takiego zajść mogło między nimi?

P. Helseth. Skądżebym mogła wiedzieć? Może to Mortensgard podjudził ich przeciw sobie.

Rebeka. Tak, to możliwe. Czy pani zna tego Piotra Mortensgarda?

P. Helseth. Skądżebym znowu? Jak pani może myśleć coś podobnego? Takiego, jak on?

Rebeka. Czy dlatego, że wydaje tę wstrętną gazetę?

P. Helseth. Nietylko dlatego. Pani zapewne słyszała, że on miał dziecko z zamężną kobietą, którą mąż opuścił.

Rebeka. Słyszałam, że tak mówią. Ale to zdarzyło się już dawno, jeszcze przed jego przybyciem do nas.

P. Helseth. Tak, tak, on był jeszcze wtedy bardzo młody. Ale ona powinna była mieć więcej od niego rozumu. On się chciał z nią żenić, tylko nie mógł otrzymać zezwolenia. A później ciężko musiał za to odpokutować. Od tego jednak czasu Mortensgard ogromnie wzniósł się w górę. Są nawet tacy, którzy tego człowieka szukają.

Rebeka. Ubożsi ludzie najchętniej udają się do niego o pomoc i radę.

P. Helseth. O, nietylko ubodzy ludzie.

Rebeka spogląda na nią ukradkiem. Tak?

P. Helseth okurzając troskliwie sofę. Tak, proszę pani i to ludzie nawet tacy, o którychby nikt czegoś podobnego nie pomyślał.

Rebeka zajęta kwiatami. Zapewne to tylko przypuszczenie ze strony pani. Chyba pani nie pewnego pod tym względem nie wie?

P. Helseth. Nie wiem nie pewnego? Otóż, nie. Bo jeśli już mam prawdę powiedzieć, ja sama raz nosiłam list do Mortensgarda.

Rebeka odwracając się. Nie, — pani — naprawdę!

P. Helseth. Tak, naprawdę byłam u niego. A list był pisany tu w Rosmersholmie.

Rebeka. Naprawdę?

P. Helseth. Ależ zaręczam, że tak było. Na bardzo delikatnym papierze był ten list pisany i zapieczetowany czerwoną pieczęcią.

Rebeka. I pani polecono list ten odnieść? W takim razie, droga pani Helseth, nietrudno się domyśleć, od kogo on pochodził.

P. Helseth. Tak?

Rebeka. Naturalnie był to list pisany przez panią Rosmer w przystępie chorobliwego rozdrażnienia.

P. Helseth. Pani sama to powiedziała, nie ja.

Rebeka. Co było jednak właściwie treścią listu? Ależ prawda — pani o tem wiedzieć nie może.

P. Helseth. A gdybym jednak wiedziała?

Rebeka. Czy nieboszczka powiedziała pani, jaka jest treść listu?

P. Helseth. Nie, wprost mi nie powiedziała. Gdy Mortensgard go jednak przeczytał, zaczął mię wypytywać tak dokładnie, że mogłam się treści listu domyśleć.

Rebeka. I jakaż była ta treść według domysłu pani? Powiedz mi to, droga, kochana pani Helseth.

P. Helseth. Nie mogę, proszę pani. Za wszystkie skarby świata nie powiedziałabym ani słówka.

Rebeka. Mnie przecież może pani powiedzieć. Wszak jesteśmy tak dobrymi przyjaciółkami.

P. Helseth. Niech mię Bóg uchwowa, bym pani cokolwiek powiedzieć miała. Nic więcej powiedzieć nie mogę, jak to tylko chyba, że biednej chorej kobiecie ktoś podsunął szkaradne myśli.

Rebeka. Któż je mógł podsunąć?

P. Helseth. Żli ludzi, panno West. Żli ludzi.

Rebeka. Żli—?

P. Helseth. Tak, śmiało to powtórzyć mogę. Musieli to być bardzo źli ludzie.

Rebeka. Jak pani myśli, kto to mógł być taki?

P. Helseth. O, ja mam swoje przypuszczenia. Niech Bóg jednak strzeże ust moich. Tam w mieście jest pewna kobieta...

Rebeka. Domyślam się, że pani posądza panią Kroll.

P. Helseth. Może miałabym słuszość w tym wypadku. Wobec mnie, zadziera ona nosa tak bardzo. A i dla pani wcale nie jest życzliwą.

Rebeka. Czy pani sądzi, że nieboszczka była przy zupełnie zdrowych zmysłach, gdy pisała ten list do Mortensgarda?

P. Helseth. Zupełnie jasno nie umiem zdać sobie z tego sprawy. Ale zupełnie obłąkaną przecież nie była.

Rebeka. Żyła jednak w ciągłym podrażnieniu od chwili, w której się dowiedziała, że nie może mieć dzieci. Wtedy był początek jej obłąkania.

P. Helseth. Tak, biedna pani Rosmer bardzo to wzięła do serca.

Rebeka bierze robotę szydełkową i siada na krześle pod oknem. A zresztą, czy nie sądzisz, kochana pani Helseth, że to było prawdziwem szczęściem dla pastora?

P. Helseth. Co, proszę pani?

Rebeka. Że nie mieli dzieci. Nieprawdaż?

P. Helseth. Hm, nie wiem naprawdę, co mam na to odpowiedzieć.

Rebeka. Może mi pani wierzyć zupełnie. Dla niego było to bardzo dobrze. Pastor Rosmer nie jest stworzony do słuchania krzyków dziecięcych.

P. Helseth. Proszę pani, dzieci na Rosmersholmie nie krzyczą nigdy.

Rebeka spoglądając na nią. Nie krzyczą nigdy?

P. Helseth. Tak, odkąd pamięć ludzka sięga, nie słyszano tu na dziedzińcu nigdy dziecięcego krzyku.

Rebeka. To dziwne.

P. Helseth. Nieprawdaż? Ale to już taka rodzinna cecha. Co zaś jeszcze dziwniejsze, to że skoro dzieci podrosną, nie śmieją się nigdy przez całe życie.

Rebeka. Tak, to rzecz szczególna.

P. Helseth. Czy pani choć raz zauważyła, żeby pan pastor śmiał się kiedy.

Rebeka. Nie. Zastanowiwszy się, widzę, że pani ma słuszość. Znajduję jednak, że ludzie w tej okolicy wogóle śmieją się bardzo rzadko.

P. Helseth. W rzeczy samej. Ludzie mówią, że to od Rosmersholmu się zaczęło. A później, jak myślę, rozeszło się jakby zaraźliwa choroba.

Rebeka. Pani jest bardzo rozsądną kobietą.

P. Helseth. O, proszę pani, niech się pani ze mnie nie śmieje. Nasłuchując. Cicho, — cicho — teraz pan pastor schodzi. Nie powinien widzieć szczotki w pokoju. Wychodzi na prawo.

Jan Rosmer z kapeluszem i laską w rękę wchodzi z przedpokoju.

Rosmer. Dzień dobry, Rebeko.

Rebeka. Dzień dobry, mój drogi. Dzierzga robotę szydełkową; po chwili. Czy wychodzisz?

Rosmer. Tak.

Rebeka. Pogoda bardzo piękna.

Rosmer. Dziś rano nie przyszłaś do mnie.

Rebeka. Tak, dziś nie przyszłam.

Rosmer. Czy nigdy już do mnie przychodzić nie będziesz?

Rebeka. Tego nie wiem jeszcze.

Rosmer. Czy nie przysłali co dla mnie?

Rebeka. Owszem jest „Gazeta urzędowa.“

Rosmer. „Gazeta urzędowa“!

Rebeka. Leży na stole.

Rosmer odkładając kapelusz i laskę. Jest już tam co?

Rebeka. Tak.

Rosmer. I nie przysłałaś mi jej na górę?

Rebeka. Zawsze jeszcze dość czasu będziesz miał na jej przeczytanie.

Rosmer. A, tak. Bierze dziennik i czyta stojąc przy stole. „Nie możemy w dostateczny sposób ostrzedz przed pozbawionymi zasad zbiegami“ — spogląda na nią. Rebeko, oni nazywają mię zbiegiem.

Rebeka. Nie wymieniają niczyjego nazwiska.

Rosmer. To nie ma nic do rzeczy. Czyta dalej. „Przed ukrytymi zdrajcami dobrej sprawy, którzy zuchwale przyznawają się do swego odszczerpięstwa, w mniemaniu, że stosowna i — korzystna chwila nadeszła.“ — „Haniebny zamach na pełną chwały pamięć czcigodnych ojców.“ — — „W pewnej nadziei, że przywódcy chwili sowi-tej zapłaty skąpić nie będą.“ Kładzie gazetę na stół. I tak piszą o mnie. Ci ludzie, którzy od tak dawna i tak dobrze mię znają. Piszą to, w co

nie wierzą sami, to, o czem wiedzą, że niema w tem słówka prawdy, — a jednak piszą.

Rebeka. Jest tam jeszcze coś więcej.

Rosmer biorąc znowu dziennik do ręki. „Jedynem usprawiedliwieniem jest niewyrobiona zdolność sądu.“ — — „Zgubny wpływ — który może nawet działa w tych kierunkach, których narażenie czynić nie chcemy przedmiotem publicznych rozmów i tłumaczeń“ — patrząc na nią. Co to znaczy?

Rebeka. Jak widzisz, odnosi się to do mnie.

Rosmer odkładając gazetę. Rebeko, tak nie postępują ludzie honorowi.

Rebeka. Zdaje mi się, że oni nie mają prawa wynosić się nad Mortensgarda.

Rosmer chodząc po pokoju. Musimy jednak znaleźć na to radę. Wszystkie dobre strony natury ludzkiej zmarnieją, jeśli taki stan rzeczy dłużej potrwa. A tak być nie może! O, jak szczęśliwym, jak bardzo szczęśliwym czułbym się, gdybym mógł te ponure ciemności choć odrobiną światła rozprószyć.

Rebeka wstając. Nieprawdaż? I tu właśnie masz wzniosły i wspaniały cel, dla którego żyć powinienś.

Rosmer. Pomyśl tylko, gdybym ich mógł doprowadzić do poznania samych siebie. Gdybym wzbudzić w nich mógł żal i wstyd. Gdybym

mógł dojść do tego, żeby oni żyli ze sobą w zgodzie, jedności i przywiązaniu.

Rebeka. Wyteż tylko wszystkie swe siły, a zobaczysz, że tego dokonasz.

Rosmer. Zdaje mi się, że muszę zwyciężyć. O, jak szczęścia pełnem byłoby wtedy życie. Nie byłoby już nienawistnych waśni i sporów. Tylko współzawodnictwo. Wszystkich oczy w jednym zwróciłyby się kierunku. Każde dążenie, każdy pomysł rozwijaćby się mógł i potęgnić w naturalny, właściwy sposób. Szczęście dla wszystkich — przez wszystkich wytworzone. Spogląda wdal, wstrząsa się i mówi posępnie. Ah! Lecz nie przezemnie.

Rebeka. Nie! Nie przez ciebie?

Rosmer. A także i nie dla mnie.

Rebeka. Rosmerze, nie dozwól zwątpieniu tak się opanować.

Rosmer. Szczęście, droga Rebeko, — szczęście polega przede wszystkim na cichej, swobodnej, niezachwianej wierze w swą niewinność.

Rebeka patrząc przed siebie. Tak, winam...

Rosmer. O, ty o tem sądzić nie możesz. Ale ja...

Rebeka. Ty tem mniej!

Rosmer wskazując przez okno. Potok młyński.

Rebeka. Rosmerze!

Pani Helseth zagląda przez drzwi z prawej strony.

P. Helseth. Proszę pani!

Rebeka. Zaraz, za chwilę, nie teraz.

P. Helseth. Jedno tylko słówko, proszę pani.

Rebeka idzie do drzwi, pani Helseth mówi coś do niej. Szepczą przez chwilę, poczem pani Helseth kiwa głową i odchodzi.

Rosmer niespokojnie. Czy to coś do mnie?

Rebeka. Nie, to tylko domowe sprawy. Teraz powinieneś wyjść daleko Rosmerze. Idź daleko.

Rosmer bierze kapelusz. Tak, chodź ze mną. Razem wtedy pójdziemy.

Rebeka. Nie, mój drogi, teraz nie mogę. Musisz iść sam. Przrzecz mi jednak, że odpędzisz od siebie złe myśli.

Rosmer. Lękam się, że ich nigdy odpędzić nie potrafię.

Rebeka. Że też coś tak bezpodstawnego tak bardzo dręczyć cię może—!

Rosmer. Niestety, nie są to rzeczy bezpodstawne. Całą noc rozmyślałem nad niemi. Może Beata jasno widziała wszystko.

Rebeka. Co chcesz przez to powiedzieć?

Rosmer. Że jasno widziała, przypuszczając, że ja cię kocham.

Rebeka. Więc to jasno widziała?

Rosmer. Kładąc kapelusz na stole. Nieustannie nasuwa mi się myśl, czy my oboje nie łudziliśmy się ciągle — nazywając nasz stosunek przyjaźnią.

Rebeka. Myślisz więc, że tak samo słusznie mogliśmy—?

Rosmer. Nazwać go stosunkiem miłosnym. Tak. Jeszcze za życia Beaty wszystkie moje

myśli należały do ciebie. Do ciebie tylko tęskniłem i przy tobie tylko doznawałem uczucia błęgiego, wolnego od pożądań szczęścia. Jeśli cofniemy się myślą wstecz, Rebeko, przyznać będziemy musieli, że nasz stosunek rozpoczął się jak słodka, ukrywana miłość dziecienna, bez pożądań i marzeń. Czy i ty tak go nie odczuwałaś? Odpowiedz mi.

Rebeka walcząc ze sobą. Ach — nie wiem, jak ci mam odpowiedzieć.

Rosmer. I tę wzajemną, gorącą wymianę uczuć uważaliśmy za przyjaźń. Nie, nasz stosunek, od początku już może, był duchowem małżeństwem. I dlatego poczuwam się do winy. Bo nie miałem do tego prawa — z powodu praw Beaty.

Rebeka. Nie miałeś prawa do szczęścia? Tak myślisz, Rosmerze?

Rosmer. Ona patrzyła na nasz stosunek oczyma swej miłości. I według sposobu swej miłości go oceniała. Naturalnie. Beata inaczej oceniać go nie mogła.

Rebeka. Skąd jednak ty oskarżać się możesz o przewidzenia Beaty?

Rosmer. Wskutek twej do mnie miłości — wskutek sposobu jej pojmowania, rzuciła się do młyńskiego potoku. Niezaprzeczony to fakt, Rebeko. Od tej myśli uwolnić się nie mogę.

Rebeka. O, nie myśl o niczem więcej jak o wielkiem, pięknem zadaniu, któremu życie swe poświęciłeś!

Rosmer potrząsając głową. Zadanie to z pewnością nigdy spełnić się nie da. W każdym razie nie przezemnie i nie po tem, co wiem teraz.

Rebeka. Dlaczego nie przez ciebie?

Rosmer. Ponieważ nigdy nie można odnieść zwycięstwa w sprawie, której zarodek leży w występku.

Rebeka z affektacją. To są dziedziczne przesady, dziedziczna bojaźliwość — dziedziczne wyrzuty sumienia. Tutaj utrzymuje się nawet wiara, że umarli powracają na świat, w postaci rączych białych koni. Widzę, że i z tobą dzieje się coś podobnego.

Rosmer. Zostaw to już tak jak jest. Cóż zresztą słowa twoje pomódz mogą? Ja tych myśli odpędzić od siebie nie mogę. Możesz mi zaś wierzyć, Rebeko, że w istocie jest tak jak mówię. Sprawy, która ma być uwieńczoną trwałem zwycięstwem, musi bronić człowiek szczęśliwy i niewinny.

Rebeka. Czyż szczęście jest tak niezbędnie dla ciebie potrzebnem, Rosmerze?

Rosmer. Szczęście? naturalnie.

Rebeka. Dla ciebie, co się nigdy nie śmiejesz?

Rosmer. Pomimo to. Wierz mi, że mam zupełną zdolność odczuwania szczęścia.

Rebeka. Iść już musisz teraz, mój drogi. Daleko — bardzo daleko. Słyszysz? Oto twój kapelusz i laska.

Rosmer biorąc kapelusz i laskę. Dziękuję ci. Czy na prawdę nie chcesz iść ze mną?

Rebeka. Nie. Teraz nie mogę.

Rosmer. Niech i tak będzie. A jednak przy mnie pozostaniesz.

Wychodzi przez przedpokój. Wnet potem Rebeka stojąca za otwartymi drzwiami, wygląda za nim. Potem idzie do drzwi na prawo.

Rebeka otwiera drzwi i mówi półgłosem. Pani Helseth, teraz może go pani wpuścić. Podchodzi do okna. Rektor Kroll wchodzi drzwiami z prawej strony, kłania się sztywnie i w milczeniu, zatrzymując kapelusz w ręce.

Kroll. Więc wyszedł?

Rebeka. Tak.

Kroll. Czy zazwyczaj długo pozostaje poza domem?

Rebeka. O, tak. Dziś jednak nie można tego obliczyć. I jeżeli pan z nim spotkać się nie chcesz...

Kroll. Nie chcę, nie. Z panią tylko pomówić pragnę i to sam na sam.

Rebeka. A więc nie traćmy czasu. Niech pan siada, panie rektorze. Siada na fotelu pod oknem, Kroll obok niej na krześle.

Kroll. Panno West — nie możesz pani sobie nawet wyobrazić, jak przykro dotknęła mnie ta zmiana w usposobieniu i poglądach Jana Rosmera.

Rebeka. Byliśmy na to przygotowani, że tak się stanie, przynajmniej z początku.

Kroll. Tylko z początku?

Rebeka. Rosmer żywił niezłomną nadzieję, że pan wcześniej czy później, przecież jednak pójdziesz z nim razem.

Kroll. Ja!

Rebeka. Pan i wszyscy inni przyjaciele?

Kroll. No, widzi pani sama. jak niewyrobionym jest sąd u niego, skoro idzie o ludzi i stosunki życia codziennego.

Rebeka. Zresztą — gdyby on odczuwał potrzebę wyswobodzenia duchowego we wszystkich kierunkach...

Kroll. Otóż właśnie w to wierzyć mi się nie chce.

Rebeka. Cóż pan zatem myślisz o całej tej sprawie?

Kroll. Zdaje mi się, że pani jest tu wszystkiego przyczyną.

Rebeka. Ten sąd pochodzi od żony pańskiej, panie rektorze.

Kroll. Rzecz to obojętna, od kogo pochodzi. Wiem tylko napewne, że ogarniają mię silne wątpliwości, — bardzo silne wątpliwości, gdy rozważam całe postępowanie i zachowanie się pani od chwili jej tu przybycia.

Rebeka spoglądając na niego. Przychodzi mi na myśl, że był kiedyś czas, w którym pan bardzo

silną miał we mnie wiarę. Mogłabym prawie powiedzieć gorącą i szczerą wiarę.

Kroll stłumionym głosem. Bo i kogoż pani nie oczarujesz, jeśli się pani o to postarasz?

Rebeka. Więc ja się o to starałam —!

Kroll. Tak, starałaś się pani. Nie jestem teraz już tak głupim, bym wmawiał w siebie, że tu w grę wchodziło jakiekolwiek ze strony pani uczucie. Chciałaś pani poprostu uzyskać wstęp do Rosmersholmu, ugruntować tu swe stanowisko. I ja miałem być w tem pani pomocnym. Teraz widzę to zupełnie jasno.

Rebeka. Zapomniałeś więc pan zupełnie, że Beata sama prosiła i męczyła mię, bym tu przyjechała?

Kroll. Bo i ją pani oczarowałaś zupełnie. Bo czyż można to uczucie, jakie ona względem pani żywiła, nazwać przyjaźnią? Wyrodziło się ono w uwielbienie, w ubóstwienie nawet. I w końcu stało się rozpaczliwem jakimś zakochaniem się, jeśli tak wyrazić się można. Tak, to właśnie trafne określenie.

Rebeka. Niech pan zechce sobie łaskawie przypomnieć, jakim był stan umysłowy siostry pańskiej. Co się mnie tyczy, nie można chyba zrobić mi zarzutu, że jestem egzaltowaną.

Kroll. O, egzaltowaną pani nie jesteś. Tem więcej niebezpieczną jednak stajesz się pani dla ludzi, nad którymi chcesz zapanować. A łatwo

przychodzi pani działać z rozważą i trafnem obliczeniem, bo pani masz zimne nieprzystępne dla uczuć serce.

Rebeka. Nieprzystępne dla uczuć serce? Jesteś pan tego pewnym?

Kroll. Tak, teraz jestem tego pewnym. Bo czy w przeciwnym razie potrafiłabyś pani przez lata całe obchodzić rzecz z daleka, nie tracąc z oka celu swego nawet na chwilę? I dopięłaś pani tego, czegoś pragnęła. Masz go pani w zupełności w swych rękach. Ale, aby to wszystko przeprowadzić, nie wahałaś się pani uczynić go nieszczęśliwym.

Rebeka. To nieprawda. Ten zarzut spada na mnie nie słusznie. Pan właśnie uczyniłeś go nieszczęśliwym.

Kroll. Ja!

Rebeka. Tak, wmawiając w niego, że on jest winnym straszliwej śmierci Beaty.

Kroll. A więc to podziałało na niego tak silnie?

Rebeka. Nie trudno to przecie sobie wyobrazić. Umysł tak wrażliwy, jak jego...

Kroll. Myślałem, że tak zwany wyswobodzony człowiek wyzwolić się może z wszystkich skrupułów. Otóż mamy go! O, tak — właściwie wiedziałem to dobrze. Potomkowi ludzi, którzy na nas z tych portretów spoglądają, może będzie

oszczędzonem oderwać się od wszystkiego, co z pokolenia na pokolenie mu przekazywano.

Rebeka z zadumą spoglądając przed siebie. Jan Rosmer zżył się ściśle z swym rodem. Rzecz to pewna i prawdziwa.

Kroll. I to właśnie powinnaś była pani wziąć pod uwagę, jeśli pani szczerze względem niego miałaś zamiary. Ale względy tego rodzaju są pani nieznane. Poglądy pani różnią się przecież o całe niebo od jego poglądów.

Rebeka. O jakich poglądach pan myśli?

Kroll. O poglądach na znaczenie rodu i tradycji.

Rebeka. A! — Tak to prawda — ja pochodzę z bardzo nieznaczej rodziny. Wychowałam się wśród mizernych bardzo stosunków. Pomimo to jednak...

Kroll. Nie mówię tu o stanowisku ni pozycji. Mam na myśli tylko moralne zapatrywania.

Rebeka. Zapatrywania? w jakim kierunku?

Kroll. W kierunku przyjscia na świat pani w ogóle.

Rebeka. Cóż przez to chcesz pan powiedzieć?

Kroll. Tyle tylko powiedzieć mogę. A to objaśnia mi całe pani postępowanie.

Rebeka. Nie rozumiem tego. Chcę stanowczego wyjaśnienia!

Kroll. Myślałem, że pani dobrze sobie zdajesz sprawę ze słów moich. W przeciwnym razie tru-

dno by mi było zrozumieć, dlaczego pani dałaś się adoptować przez doktora Westa...

Rebeka wstaje. A, tak! Teraz rozumiem.

Kroll. Dlaczego pani przyjęłaś jego nazwisko. Nazwisko matki pani było Gamwik.

Rebeka przechadzając się. Nazwisko mego ojca było Gamwik, panie rektorze.

Kroll. Zawód matki pani powodował nie raz styczność jej z lekarzem okręgowym.

Rebeka. W tem masz pan słuszność.

Kroll. I zaraz po śmierci matki pani, on wziął panią do siebie. Obchodził się z panią szorstko, a jednak pani u niego pozostałaś. Wiedziałaś pani także, że nie pozostawi pani złamanego grosza i otrzymałaś pani po nim tylko skrzynię książek. A jednak pani u niego wytrwałaś, liczyłaś się z nim, pielęgnowałaś go do ostatniego tchnienia.

Rebeka stojąc przy stole patrzy na niego szyderczo. I ponieważ to wszystko czyniłam, pan w urodzeniu mojem upatrujesz coś niemoralnego i zbrodniczego?

Kroll. W zachowaniu się pani wobec niego upatruję naturalny instynkt dziecka względem ojca. Dalsze zaś pani postępowanie jest tylko skutkiem takiego urodzenia pani.

Rebeka gwałtownie. Ależ w tem wszystkiem, co pan mówi, niema jednego nawet słowa prawdy! Mogę to udowodnić! Doktor West w cza-

się mego przyjścia na świat nie był jeszcze w Finnmarken.

Kroll. Pani wybaczysz, ale właśnie rok przedtem osiedlił się on w Fort. Dowiadywałem się o tem.

Rebeka. Powtarzam panu, że się pan mylisz! Mylisz się pan najzupełniej!

Kroll. Przedwczoraj jeszcze powiedziałaś pani, że pani ma lat 29 i że pani rozpoczynasz rok trzydziesty.

Rebeka. Ja to powiedziałam?

Kroll. Tak, pani to powiedziałaś, a według tego można obliczyć.

Rebeka. Za pozwoleniem! Wszelkie obrachowywanie jest tu zbyt cieżkiem. Bo mogę panu zaręczyć, że ujmuję sobie jeden rok od prawdziwej liczby lat moich.

Kroll uśmiechając się niedowierzająco. Naprawdę? To znowu coś nowego! A skąd pani do tego przysłaś?

Rebeka. Kiedy skończyłam już lat 25 — ciągle jeszcze nie zamężna, wydało mi się, że jestem za starą. I poczęłam sobie lat ujmować.

Kroll. Pani? — Pani, wyswobodzona kobieta? A więc masz pani przesady co do wieku zamążpójścia.

Rebeka. Tak — była to rzecz głupia i śmieszna. Ale zawsze coś zostaje w człowieku takie-

go, czego się pozbyć nie może. Taka już ludzka natura.

Kroll. Niechże i tak będzie. Pomimo to jednak przypuszczenie moje może być prawdziwem. Bo rok przed osiedleniem się, doktor West przelotnie zatrzymał się w Finnmarken.

Rebeka gwałtownie wzburzona. To nieprawda.

Kroll. Nieprawda?

Rebeka. Nieprawda. Moja matka nigdy o tem nie wspominała.

Kroll. Nigdy o tem nie wspominała?

Rebeka. Nigdy. I doktor West także. Jednem choćby słówkiem.

Kroll. A może to stało się dlatego, że oboje mieli pewien powód, przeskoczyć rok swego życia? Tak właśnie jak pani, panno West. Może to taka właściwość rodzinna.

Rebeka załamując ręce chodzi po pokoju. Ależ to niemożliwe. Pan tylko chcesz we mnie wmówić to wszystko. Nigdy, przenigdy nie jest to prawdą. Nie może być prawdą.

Kroll. Ależ droga pani, dlaczego na Boga bierze pani tak bardzo do serca tę sprawę? Pani formalnie mnie przestraszasz! Co mam myśleć o tem wszystkim?

Rebeka. Nie. Nic nie powinienes pan myśleć ni przypuszczać.

Kroll. Zechcesz mi jednak pani wyjaśnić dlaczego ta sprawa — ta możliwość tak bardzo panią dotyka?

Rebeka panując nad sobą. Rzecz to przecie jasna, panie rektorze. Nie mam wcale ochoty uchodzić za dziecko nieprawe.

Kroll. A, o to idzie. Niechaj mi na razie i to wyjaśnienie wystarczy. Więc pani i pod tym względem zachowałaś pewne — przesady?

Rebeka. Tak, zachowałam.

Kroll. Zdaje mi się, że tak będzie i z większą częścią tych zasad, które wy nazywacie „wyswobodzeniem.“ Pani przyswoiłaś sobie wielką ilość nowych myśli i nowych zdań. Posiadasz pani pewne pojęcia w zakresie nowych poglądów w rozmaitych kierunkach, — poglądów, zdających się obalać niektóre takie rzeczy, które do tej chwili u nas za nienaruszalne i niewzruszone uchodziły. Ale to wszystko przyswoiłaś pani tylko swej wiedzy, swojemu wykształceniu. W krew i duszę nie przeszło nic.

Rebeka po namyśle. Może masz pan słuszość.

Kroll. Tak, niech pani zbada siebie samą, a przekonasz się pani! A jeżeli z panią tak sprawa stoi, łatwo sobie wyobrazić, jak stoi z Janem Rosmerem. To przecież byłoby jasnem, wyraźnem szaleństwem — rzucaniem się na oślep w przepaść, gdyby on chciał wystąpić i publicznie wyznać swe odszczepieństwo! Niech pani się tylko zastanowi — on, tak duchowo nieśmiały! Niech pani sobie wyobrazi jego, odtrąconego przez wszystkich, — prześladowanego przez tych

ludzi, do których teraz należy, wystawionego na nieliczące się z niczem napaści naszego społeczeństwa. On z pewnością nie jest człowiekiem, któryby to znieść potrafił.

Rebeka. On to znieść musi! Już zresztą jest zapóźno. On cofnąć się już nie może.

Kroll. Wcale nie zapóźno i pod żadnym względem. To, co się już stało, można albo zupełnie przemilczeć, albo wytłumaczyć jako przejściowe, chociaż pożałowania godne nieporozumienie. Jedno tylko prawo postępowania jest niezbędnie wskazanem.

Rebeka. Jakież?

Kroll. Pani musisz wpłynąć na niego, aby wasz wzajemny stosunek uczynił stosunkiem prawnym.

Rebeka. Nasz wzajemny stosunek?

Kroll. Tak. W tym kierunku musisz pani na niego wpłynąć.

Rebeka. A więc pan na chwilę nawet nie chcesz przypuścić, że nasz stosunek wcale nie wymaga tego, aby go uczynić, jak pan nazywasz, prawnym?

Kroll. Nie chciałbym bliżej w tę rzecz wchodzić. Zdaje mi się jednak, że zupełnie trafnem jest spostrzeżenie, iż najłatwiej zerwać z tak zwanymi przesadami, kiedy — hm...

Rebeka. Kiedy idzie o stosunek mężczyzny do kobiety, chciał pan powiedzieć.

Kroll. Prawdę mówiąc, to właśnie miałem na myśli.

Rebeka idzie powoli do okna i wygląda. Chciałabym prawie, by pan miał słuszość, panie rektorze.

Kroll. Co pani przez to chce powiedzieć? Pani mówisz to z tak szczególnym naciskiem.

Rebeka. E! co tam! Nie mówmy już o tem więcej. Ah — ale oto on nadchodzi.

Kroll. Już! A więc ja iść muszę.

Rebeka podchodząc do niego. Nie, zostań pan tutaj. Teraz usłyszysz pan coś ciekawego.

Kroll. Teraz nie. Zdaje mi się, że nie mógłbym znieść jego widoku.

Rebeka. Proszę pana, zostań pan. Zostań pan, bo w przeciwnym razie może pan żałować później niezastosowania się do mego życzenia. Ostatecznie to już raz pana o coś proszę.

Kroll spogląda na nią zdziwiony i odkłada kapelusz napowrót. A więc, panno West, zostaję.

Krótko chwila milczenia. Jan Rosmer wchodzi z przedpokoju.

Rosmer spostrzegłszy rektora, staje we drzwiach. Co! Ty tutaj!

Rebeka. Pan nie chciał spotkać się z tobą, Rosmerze.

Kroll mimowoli. Z tobą!

Rebeka. Tak, panie rektorze, my mówimy wzajemnie ty do siebie. Stosunek nasz jakoś to sam przez się zrobił.

Kroll. Czy tego według obietnicy pani dowiedzieć się miałem?

Rebeka. Tego i czegoś jeszcze.

Rosmer przystępując do Krolla. Jaki zamiar łączy się z dzisiejszemi twemi odwiedzinami?

Kroll. Chciałem raz jeszcze spowodować zawieszenie broni, i ciebie dla nas napowrót odzyskać.

Rosmer wskazując na gazetę. Po tem, co tu napisano?

Kroll. Ja tego nie pisałem.

Rosmer. Czy uczyniłeś choćby krok jeden, aby to wstrzymać?

Kroll. Sprzeciwiałoby się to zasadom sprawy, której służę. A prócz tego nie było to w mej mocy.

Rebeka drąc gazetę w kawałki i rzucając je za piec. Tak. Teraz zeszła ona nam z przed oczu. Postaraj się zaś, by i z myśli ci zeszła, Rosmerze, gdyż tego rodzaju napaść nie powtórzy się już więcej.

Kroll. O, tak, pani by do tego doprowadzić mogła.

Rebeka. Siadajmy. Wszyscy troje. Teraz powiem wszystko.

Rosmer siadając mimowoli. Cóż ci się znowu stało, Rebeko? Ten przestraszający spokój. Co to ma znaczyć?

Rebeka. To spokój postanowienia. Siadając. Niech pan także siada, panie rektorze. Kroll siada na sofie.

Rosmer. Postanowienia? O jakim postanowieniu mówisz?

Rebeka. Chcę ci zwrócić to, czego potrzebujesz, aby żyć życiem prawdziwym. Musisz odzyskać napowrót pogodne poczucie niewinności, drogi przyjacielu.

Rosmer. Ależ, co to wszystko znaczy?

Rebeka. Posłuchajcie krótkiego mego opowiadania. To wszystko, czego potrzeba.

Rosmer. A zatem!

Rebeka. Kiedy przybyłam tu z Finnmarken, razem z doktorem Westem, zdawało mi się, że nowy wielki świat otwiera się przed moimi oczyma. Doktor uczył mnie tego i owego. Wszystka ta niesystematyczna wiedza, której wówczas o sprawach społecznych nabrałam, pochodziła od niego. Bardzo cicho, walcząc ze sobą. A potem...

Kroll. Potem?

Rosmer. Ależ Rebeko, — ja wiem już o tem wszystkiem.

Rebeka opanowując się. Tak, tak, masz właściwie słuszość. Wiesz o tem dosyć.

Kroll wpatrując się w nią. Może lepiej będzie, jeśli ja odejdę?

Rebeka. Nie, zostań pan, panie rektorze. Do Rosmera. A więc, widzisz, ja chciałam mieć udział w nowym, powstającym ruchu, chciałam utrzymać się na wyżynie nowych jego pojęć. Rektor Kroll mówił mi kiedyś, że Ulryk Brendel wielki nad tobą wpływ posiadał, gdy byłeś jeszcze

dzieckiem. Myślałam, że i mnie uzyskanie takiego wpływu udać się musi.

Rosmer. Czy przybyłaś tu z ukrytym zamiarem!...

Rebeka. Chciałam, byśmy oboje postępowali naprzód razem na drodze wyswobodzenia. Ciągłe naprzód i dalej, — aż do granicy i krańca. — Ale pomiędzy tobą a zamierzonym zupełnem wyswobodzeniem wznosił się mur czarny, niedostępny.

Rosmer. Jak to pojmujesz?

Rebeka. Ty, Rosmerze, tylko w słonecznych blaskach wolności mogłeś wzrastać i rozwijać się duchowo, — tymczasem marniałeś i słabłeś wśród ponurych stosunków takiego małżeństwa.

Rosmer. Dziś po raz pierwszy mówisz do mnie tym tonem o mojem małżeństwie.

Rebeka. Przedtem nie śmiałam. Bałam się przestraszyć ciebie.

Kroll do Rosmera dającego jakiś znak. Teraz już słyszysz!

Rebeka w dalszym ciągu. Ale wiedziałam dobrze, gdzie wybawienia dla ciebie szukać należy, wybawienia jedyne. I działałam też według mego przekonania.

Rosmer. O jakim działaniu mówisz?

Kroll. Czyżby pani przez to chciała powiedzieć, że —!

Rebeka. Tak, Rosmerze — wstając. — pozostań na miejscu. I pan, panie rektorze. Wszystko teraz powiem. To nie ty byłeś, Rosmerze, ty

jesteś niewinnym. Ja to właśnie sprowadziłam umysł Beaty na drogę obłąkania...

Rosmer zrywając się. Rebeko!

Kroll zrywając się również. Na drogę obłąkania!

Rebeka. Na drogę — która prowadziła do młyńskiego potoka. Teraz wiecie obydwaj wszystko.

Rosmer oszołomiony. Ale ja nie rozumiem, co ona właściwie mówi? Nie rozumiem ani jednego słowa.

Kroll. Ja zaś zaczynam już rozumieć.

Rosmer. Cóż ty jednak uczynić mogłaś! Co mogłaś jej powiedzieć? Nic przecie do powiedzenia nie było. Nic zupełnie!

Rebeka. Dałam jej naprzód do zrozumienia, że ty poczynasz się wyzwalać z wszystkich starych przesądów.

Rosmer. Ależ wtedy wcale jeszcze tego nie zamierzałem.

Rebeka. Lecz ja wiedziałam już wtedy, że wkrótce zamiar taki poweźmiesz.

Kroll potakując. Tak, tak!

Rosmer. A później—? Co dalej? Chcę teraz wiedzieć wszystko.

Rebeka. Wkrótce potem poczęłam ją błagać i dręczyć, by mi pozwoliła stąd wyjechać.

Rosmer. A dlaczegoż ty wtedy chciałaś wyjeżdżać?

Rebeka. Nie chciałam wcale wyjechać. Chciałam tu zostać. Ale powiedziałam jej, że mój wyjazd — póki jeszcze pora — byłby dla nas

wszystkich najlepszym. Wzbudziłam w niej przypuszczenie, że mój dalszy pobyt mógłby spowodować coś — coś łatwo dającego się określić.

Rosmer. Więc ty to powiedziałaś i uczyniłaś.

Rebeka. Tak, Rosmerze.

Rosmer. I to nazywałaś działaniem.

Rebeka złamanym głosem. Tak — nazywałam.

Rosmer po chwili. Czy teraz już wszystko wyznałaś, Rebeko?

Rebeka. Tak.

Kroll. Nie wszystko.

Rebeka patrzy na niego przerażona I coś jeszcze takiego?

Kroll. Czy nie wmówiłaś pani także w Beatę, że jest rzeczą konieczną, — nie tylko potrzebną, ale konieczną — by pani ze względu na nią i na Rosmera co prędzej stąd wyjechała. Co?

Rebeka cicho i niewyraźnie. Może i to także powiedziałam.

Rosmer opadając na fotel pod oknem. I w tę sieć kłamstwa i podstępui zaplątała się biedna chora. Wierzyła we wszystko. — wierzyła silnie, niewzruszenie! Spoglądając na Rebeke. I nigdy nie zwróciła się do mnie, choćby z jednym słówkiem! O, Rebeko, — domyślam się, że ty jej to odradzałaś!

Rebeka. Ona przecież uroiła sobie, że jako żona bezdzietna żadnego nie ma prawa tu się znajdować. A później wmówiła w siebie, że obowiązkiem jej jest, tobie niezagradzać drogi.

Rosmer. A ty, — ty nie uczyniłaś nic, by te urojenia rozprószyć?

Rebeka. Nie.

Kroll. Może jeszcze ją pani w nich umacniałaś? Proszę odpowiedzieć! Nie czyniłaś tego pani?

Rebeka. Ona zapewne tak sobie tłumaczyła moje postępowanie.

Rosmer. Tak, tak — i z twojej przyczyny ona wszystkiemu się poddała. A w końcu zrobiła ci miejsce. Zrywając się. Jakże ty mogłaś, — jak mogłaś prowadzić grę tak okrutną!

Rebeka. Miałam silne przekonanie, że tu między jednym a drugim życiem wybierać było trzeba.

Kroll surowo rozkazującym głosem. Pani nie miałaś żadnego prawa taki wybór uczynić.

Rebeka gwałtownie. Ależ czyż wy sobie wyobrażacie, że ja działałam i działać mogłam z zimnem, przezornem wyrachowaniem! Ja nie doszłam jeszcze wtedy do tego, czem jestem dzisiaj, gdy tu przed wami stoję i przeszłość całą opowiadam. A prócz tego, przecież jak się zdaje, są w człowieku dwie różne, od siebie odrębne wole! Ja chciałam pozbyć się Beaty. W jakikolwiek sposób. A pomimo tego, nie miałam nadziei, żeby mi się to kiedy udało. Przy każdym z mej strony kroku, który mię drażnił i popychał do dalszych, zdawało mi się, że słyszę jakiś głos wewnętrzny: nie posuwaj się już dalej! Ani na krok dalej! A później nie mogłam się jednak

przezwyć. Musiałam choćby trochę naprzód się posunąć. A później jeszcze trochę — i tak ciągle bez przerwy, aż wreszcie stało się. I tak zawsze dzieją się takie rzeczy. Krótka pauza.

Rosmer do Rebeki. I cóż teraz stanie się z tobą po tem wszystkiem?

Rebeka. Wszystko mi jedno co się ze mną stanie. Nie bardzo mi na tem zależy.

Kroll. Ani jednego słowa skruchy. Może jej pani wcale nie czujesz?

Rebeka zimno i odpychająco. Proszę mi wybaczyć, panie rektorze — to nie obchodzi nikogo. To do mnie samej wyłącznie należy.

Kroll do Rosmera. I z tą kobietą ty żyjesz razem pod jednym dachem, nawet w poufałym stosunku! Spogląda w koło na portrety. O, ci umarli, gdyby oni to widzieli!

Rosmer. Idziesz do miasta?

Kroll biorąc kapelusz. Tak, im prędzej, tem lepiej.

Rosmer biorąc także kapelusz. Więc i ja pójde z tobą.

Kroll. Ty chciałbyś? Tak, byłem tego pewnym, że nie utraciliśmy cię w zupełności.

Rosmer. Więc chodźmy, chodźmy! Obydwaj wychodzą nie patrząc na Rebekę. Zaraz potem Rebeka ostrożnie zbliża się do okna i spogląda ostrożnie przez wazon z kwiatami.

Rebeka półgłosem do siebie. I dziś nie przechodzą przez kładkę! Obchodzą na około. On nigdy przez kładkę nie przejdzie. Nigdy. Odchodząc od okna. O tak, tak! Dzwoni.

Ranl Helseth wchodzi drzwiami z prawej strony.

P. Helseth. Czego pani sobie życzy?

Rebeka. Niech pani będzie tak dobrą i każe znieść z góry mój kufer podróżny.

P. Helseth.. Kufer podróżny?

Rebeka. Tak, ten brunatny, skórą obity. Zna go przecie pani dobrze.

P. Helseth. Znam. Ale, niech Bóg tego nie dopuści — czy pani zamierza wyjechać?

Rebeka. Tak, pani Helseth — teraz wyjadę.

P. Helseth. I to tak zaraz?

Rebeka. Jak tylko zapakuję rzeczy.

P. Helseth. Czegoś podobnego nigdybym nie przypuszczała! Ale pani zapewne niedługo powróci.

Rebeka. Nie powrócę nigdy.

P. Helseth. Nigdy! Ależ na miły Bóg, co się tu dzieć będzie w Rosmersholmie, gdy pani wyjedzie? Teraz było tak dobrze i wygodnie biednemu panu pastorowi.

Rebeka. Tak, ale muie ogarnęła trwoga.

P. Helseth. Trwoga! Jezu! Przed czym?

Rebeka. Zdało mi się, że widziałam cień białego konia.

P. Helseth. Białego konia! W jasny dzień!

Rebeka. O, białe konie w Rosmersholmie pokazują się o każdym czasie. Zmieniając temat. A więc proszę o kufer.

P. Helseth. Tak, kufer. Obydwie wychodzą na prawo.

Akt IV.

Pokój w Rosmersholmie.

Późny wieczór. Lampa zasłonięta abażurem na stole. Rebeka West stoi przy stole i pakuje drobiazgi do podręcznej torby podróżnej. Płaszcz jej, kapelusz i biała szydełkowa robota leżą na poręczy od sofy. — Pani Helseth wychodzi z prawej strony.

P. Helseth mówi stłumionym głosem i zachowuje się z pewną rezerwą. Proszę pani, wszystkie rzeczy już wyniesione. Są na kurytarzu do kuchni.

Rebeka. Dobrze. Czy pani też powiedziała stangretowi gdzie ma jechać?

P. Helseth. Powiedziałam. Pyta się, kiedy ma zjechać.

Rebeka. Mniej więcej koło jedenastej. Parowiec odpływa o północy.

P. Helseth z pewnem wahaniem. A pan pastor? Jeżeli do tej chwili nie przyjdzie do domu?

Rebeka. To i tak wyjadę. Gdybym go już nie mogła zobaczyć, proszę mu powiedzieć, że napiszę do niego długi list. Tylko niech pani nie zapomni.

P. Helseth. List — hm, to bardzo pięknie. Ale możeby lepiej było, żeby pani spróbowała jeszcze z nim pomówić.

Rebeka. Może. A może byłoby lepiej, żebym się z nim już nie widziała.

P. Helseth. Nie — nie spodziewałam się nigdy, że czegoś podobnego dożyję!

Rebeka. A czego się pani spodziewała?

P. Helseth. Myślałam, że pan pastor ma uczciwe zamiary.

Rebeka. Uczciwe?

P. Helseth. Tak, na miły Bóg, raz jeszcze to powtarzam.

Rebeka. Co pani właściwie chce przez to powiedzieć?

P. Helseth. Chcę powiedzieć tylko to co jest słusznym i sprawiedliwym. W ten sposób on nie powinien się wymykać, nie.

Rebeka słuchając uważnie. Niech mię pani posłucha. Proszę mi powiedzieć zupełnie szczerze i otwarcie, jak się pani zdaje, dlaczego ja właściwie wyjeżdżam z Rosmersholmu?

P. Helseth. Miły Boże, to przecież wreszcie konieczność. O, tak, tak, tak! Ale pan pastor wcale nie pięknie sobie postąpił. Mortensgard, no tak, jego w końcu można było usprawiedliwić. Bo jej mąż żył jeszcze wtedy. A więc oni przy najlepszej nawet woli nie mogli zawrzeć małżeństwa. Ale pan pastor, — nie, proszę pani, on — hm!

Rebeka ze słabem uśmiechem. A więc pani mogła posądzać mnie i pastora Rosmera.

P. Helseth. Niech mię Bóg uchwota, nie posądzałam nigdy. To jest chciałam powiedzieć, aż do dnia dzisiejszego.

Rebeka. A od dnia dzisiejszego?

P. Helseth. No — potem wszystkiem, co, jak ludzie mówią, piszą w gazetach o panu pa-szorze...

Rebeka. A, tak!

P. Helseth. Zdaje mi się mianowicie, że o czło-wieku, który jest w stanie przejść do religii Mortensgarda, Bóg wie co można przypuścić.

Rebeka. No, niech i tak będzie. Ale ja? Co pani o mnie myśli?

P. Helseth. Na miły Bóg, proszę pani, zdaje mi się, że przeciw pani niktby wielkich nie podniósł zarzutów. Nieraz ciężko jest pannom samotnym utrzymać się na stanowisku. Przecież ludzie są słabemi istotami, proszę pani.

Rebeka. Powiedziała pani wielką prawdę. Ludzie są tylko słabemi istotami. W co pani się tak wsłuchuje?

P. Helseth po cicho. Jezu, zdaje mi się, że on nadchodzi. W sam czas.

Rebeka z przestraczem. Więc przecież! Stanowczo. No, tak. Niech i tak będzie. Jan Rosmer wchodzi z przedpokoju.

Rosmer patrzy na przygotowania do podróży, zwraca się do Rebeki i pyta Co to ma znaczyć?

Rebeka. Wyjeżdżam.

Rosmer. Tak, natychmiast?

Rebeka. Tak. Do pani Helseth A więc o jede-nastej.

P. Helseth. Dobrze, proszę pani. Wychodzi na prawo.

Rosmer po chwili milczenia. Dokąd wyjeżdżasz, Rebeko?

Rebeka. Parowcem na północ.

Rosmer. Na północ? I po cóż?

Rebeka. Stamtąd przecie przybyłam.

Rosmer. Ale już tam nic nie masz do czynienia.

Rebeka. Tu nie mam także.

Rosmer. Co myślisz począć ze sobą?

Rebeka. Nie wiem. Postaram się tylko, by
wszystkiemu koniec położyć.

Rosmer. Koniec położyć?

Rebeka. Rosmersholm mię zламаł.

Rosmer zastanawiając się. Ty to mówisz?

Rebeka. Zniszczył zupełnie. Kiedy przyjechałam tu, miałam tyle dobrej woli i odwagi. Teraz obce prawo mię ujarzmiło. Sądzę, że nie potrafię już na nic w przyszłości się odważyć.

Rosmer. Dlaczego? Jakież to prawo, o którym powiadasz, że cię...

Rebeka. Dajmy teraz temu pokój, mój drogi. Co zaszło między tobą a rektorem?

Rosmer. Zawarliśmy pokój.

Rebeka. Tak. A więc się stało.

Rosmer. On zebrał całe stare nasze koło w swoim domu. Ich perswazyje przekonały mię jasno, że praca nad uszlachetnieniem zmysłów nie dla mnie jest stosowną. A przy tem to rzecz sama przez się i dla swego celu tak beznadziejna! Zrzekam się też dla tego mych zamiarów.

Rebeka. Tak, tak, to może i najlepiej.

Rosmer. Ty teraz tak mówisz? Takiem jest teraz twoje zdanie?

Rebeka. Takiem zdanie moje się stało od dni ostatnich.

Rosmer. Ty kłamiesz, Rebeko.

Rebeka. Ja kłamię—!

Rosmer. Tak, kłamiesz. Ty nigdy nie wierzyłaś we mnie. I nie wierzyłaś nigdy, że ja jestem człowiekiem, który w walce o jaką sprawę odnieść mógłby zwycięstwo.

Rebeka. Wierzyłam, że oboje odnieść je możemy.

Rosmer. To nieprawda. Ty wierzyłaś, że sama zdołasz wielkiego czynu dokonać. Wierzyłaś, że mnie możesz potrzebować do urzeczywistnienia twoich celów. Miałem być narzędziem w twoim ręku. Taką była twoja wiara.

Rebeka. Rosmerze, posłuchaj mnie...

Rosmer siadając na sofie. Daj pokój. Teraz widzę wszystko gruntownie. Byłem jakby rękawiczką w twoich rękach.

Rebeka. Rosmerze, posłuchaj mnie. Pomówmy ze sobą po raz ostatni. Siada na krześle obok sofy. Właściwie chciałam to wszystko ci napisać — po moim wyjeździe. Ale może i lepiej, że teraz wszystko usłyszysz.

Rosmer. Czy masz mi co jeszcze wyznać?

Rebeka. O największej rzeczy jeszcze nie wspominałam.

Rosmer. O największej — ?

Rebeka. O tej, którejbyś nigdy nawet nie przeczuwał. A jest ona dla całej tej sprawy światłem i cieniem zarazem.

Rosmer potrząsając głową. Nie rozumiem.

Rebeka. Nie zaprzeczam, że zakładałam sieci, by wstęp do Rosmersholmu uzyskać. Bo byłam przekonana, że tu znaleźć mogę szczęście. Tą lub ową drogą — rozumiesz?

Rosmer. I przeprowadziłaś też to, — czego chciałaś.

Rebeka. Zdaje mi się, że byłabym przeprowadziła wszystko — cokolwiekby to było — wtedy. Bo wtedy miałam odważną, wolną od przesądów wolę. Nie rozumiałam, co znaczą względy na kogokolwiek. Nie byłabym się cofnęła przed niczem. Ale niedługo trwało a rozpoczęło się to, co złamało mą wolę i tak boleśnie na całe życie mię przeraziło.

Rosmer. O czym myślisz? Mów tak, bym rozumiał.

Rebeka. Później o władnęło mną — dzikie nieposkromione pożądanie. O, Rosmerze!

Rosmer. Pożądanie? Ciebie — ? Co to znaczy?

Rebeka. Pożądałam ciebie!

Rosmer zrywając się. Co to znaczy?

Rebeka. Uspokój się, najdroższy. Więcej ci jeszcze chcę powiedzieć.

Rosmer. I ty chcesz mi powiedzieć, że mnie kochałaś — w taki sposób!

Rebeka. Myślałam wtedy, że to musi się nazywać miłością. Myślałam, że to jest miłość. A jednak miłością to nie było. Dobrze ci określiłam to uczucie. Było to dzikie, nieposkromione pożądanie.

Rosmer mówi z wysiłkiem. Rebeko, czy to ty, — naprawdę ty sama mówisz mi to wszystko?

Rebeka. Tak. I cóż mi na to odpowiesz, Rosmerze?

Rosmer. I stąd, — z tej namiętności wypływało to, co nazywasz — działaniem.

Rebeka. Jak burza na morzu, tak namiętność ta we mnie szalała. Jak jedna z tych burz, które tam na północy widzimy nieraz w porze zimowej. Porywa ona — i niesie z sobą dokąd zechce. Myśleć nawet niepodobna o oporze.

Rosmer. A później nieszczęśliwa Beata rzuciła się do młyńskiego potoku.

Rebeka. Tak, w tym czasie była między mną a Beatą walka jakby o ster łodzi.

Rosmer. Ty, zaprawdę, najsilniejszą byłaś w Rosmersholmie. Silniejszą odemnie i Beaty razem.

Rebeka. Znałam cię tak dobrze, że wiedziałam, iż dopóty nie znajdę do ciebie drogi, aż się

wyzwolisz tak z pośród otaczających cię stosunków, jak i wyswobodzisz duchowo.

Rosmer. Nie pojmuję cię jednak, Rebeko. Ty, ty sama i całe twoje postępowanie jest dla mnie nierozwiązaną zagadką. Teraz przecież duchowo jestem wolny i wolny w odniesieniu do stosunków. Ty zaś jesteś tak blisko celu, który sobie od początku wytknęłaś. A jednak—!

Rebeka. Nigdy bardziej od mego celu nie byłam oddaloną, jak w obecnej chwili.

Rosmer. A jednak powtarzam — gdy wczoraj pytałem cię i prosiłem: zostań moją żoną — jakby przerażona krzyknęłaś i powiedziałaś, że nigdy stać się to nie może.

Rebeka. Okrzyk mój był okrzykiem rozpacz.

Rosmer. Dlaczego?

Rebeka. Bo pobyt w Romersholmie pozbawił mnie siły. Tu osłabła i złamała się moja własna, pełna odwagi wola! Czas ten już przeszedł, w którym zdolną byłam posunąć się do ostateczności. Utraciłam zdolność do działania, Rosmerze.

Rosmer. Powiedz, w jaki sposób się to stało?

Rebeka. Obcowanie z tobą było tego przyczyną.

Rosmer. Co to znaczy? Jakto?

Rebeka. Gdy sama z tobą pozostałam i gdy ty samym sobą się stałeś...

Rosmer. No, no?

Rebeka. Bo ty nigdy samym sobą nie byłeś, dopóki żyła Beata.

Rosmer. Niestety, masz zupełną słuszność.

Rebeka. Gdy zatem ja tu razem z tobą żyć mogłam, — w odosobnieniu, — w samotności, — gdy ty bez zastrzeżenia wszystkie swe myśli powierzać mi zaczęłeś, i każdy nastrój tak miękko i łagodnie jak sam go odczuwałeś — wówczas istotna dokonała się we mnie zmiana. Naturalnie stopniowo. Prawie niepostrzeżenie, ale tak skuteczna w rezultatach. Aż do dna mego serca.

Rosmer. Rebeko, co to wszystko znaczy!

Rebeka. Wtedy całe ohydne, zmysłowe pożądanie zniknąć poczęło i daleko, daleko za mną pozostawać. Wszystkie szalejące namiętności ukłasyły się w spokój i milczenie. Przyszedł na mnie spokój ducha, spokój taki, jaki panuje na wzgórzach, tam u nas w południowej godzinie.

Rosmer. Mów więcej o tem. Wszystko, co masz do powiedzenia.

Rebeka. Nie wiele już pozostaje. Jedno to jeszcze, — że miłość wtedy we mnie powstała. Wielka, pełna rezygnacyi miłość, poprzestająca na wspólnem pożyciu, jakim było nasze pożycie.

Rosmer. O, gdybym miał choćby najśłabsze tego przeczucie!

Rebeka. Lepiej, że się tak stało, jak jest. Wczoraj, gdy zapytałeś mię, czy chcę być twoją żoną — radość wielka we mnie powstała...

Rosmer. Nieprawdaż. Rebeko! Mnie zdawało się, że wolno mi tak sobie to tłumaczyć.

Rosmer. Ale ta radość trwała tylko chwilę. Wskutek zaparcia się samej siebie. Bo zbudziła się moja dawna, nieustraszona wola, która znowu chciała się wyswobodzić. Ale teraz nie mam już siły, wytrwałej, ciągłej siły.

Rosmer. Jak sobie tłumaczysz to, co cię spotkało?

Rebeka. Pogląd życiowy rodu Rosmerów, — albo raczej twój pogląd życiowy, Rosmerze, zaraził mą wolę.

Rosmer. Zaraził?

Rebeka. I uczynił ją chorą. Ujarzmił ją prawami, które przedtem nie miały dla mnie znaczenia. Ty i pożycie z tobą uszlachetniły me zmysły.

Rosmer. O, gdybym temu mógł dać wiarę!

Rebeka. Możesz mi wierzyć napewno. Pogląd życiowy Rosmerów uszlachetnia. Ale potrzęsając głową. — ale...

Rosmer. Ale — ? Mów dalej.

Rebeka. Ale zabija szczęście.

Rosmer. Co ty mówisz, Rebeko?

Rebeka. Zabił przynajmniej moje szczęście.

Rosmer. Czy ty wiesz to napewno? Gdybym cię teraz znowu zapytał — i gorąco cię błagał...

Rebeka. O, nie wracaj już nigdy do tego, najdroższy! To niemożliwe! — Bo jeszcze jedno powiedzieć ci muszę — za mną jest jeszcze przeszłość.

Rosmer. Więcej jeszcze niż to, co powiedziałaś?

Rebeka. Tak, więcej jeszcze i co innego.

Rosmer z łagodnym uśmiechem. Czy nie jest to dziwnem, Rebeko, że nieraz budziło się w mej duszy przeczucie czegoś podobnego?

Rebeka. Naprawdę? A jednak? A pomimo to?

Rosmer. Nie wierzyłem nigdy temu przeczuciu. Tylko w mych myślach nieraz się ono przesuwalo.

Rebeka. Jeżeli tego odemnie żądasz, mogę ci teraz opowiedzieć.

Rosmer zaprzeczając. Nie, nie! Słowa o tem wiedzieć nie chcę. Cokolwiekby to było — zapomnę o wszystkim.

Rebeka. Ale ja nie.

Rosmer. O, Rebeko!

Rebeka. Tak, to rzecz straszna, że teraz, kiedy podano mi całe szczęście życia pełnemi rękami, ja stałam się taką, że własna moja przeszłość staje mi na drodze.

Rosmer. Przeszłość twoja umarła, Rebeko. Nie ma ona nad tobą żadnej władzy. Żadnego związku z tobą, — taką, jaką dziś jesteś.

Rebeka. O mój drogi, to tylko frazesy. A cóż się wtedy stanie z poczuciem niewinności? Skąd ja je wezmę?

Rosmer ze smutkiem. O tak, poczucie niewinności.

Rebeka. Poczucie niewinności. W niem jest szczęście i zadowolenie! Tę przecież zasadę ty wszczepić chciałeś we wszystkich mających się uszlachetnić, zadowolonych ludzi...

Rosmer. O, nie przypominaj mi tego, Rebeko! To było tylko niewyśnione marzenie! Przedwczesne urojenie, w które już sam teraz nie wierzę. Ludzi zewnątrznie uszlachetniać nie można.

Rebeka cicho. Nawet przez czystą miłość?

Rosmer z zadumą. Tak, to jest — to byłoby najszczytniejszem. Prawie najbardziej wspinałem w życiu. Gdyby tylko tak być mogło. Z niespokojnem poruszeniem. Ale jakże mam zdać sobie sprawę z tego pytania? Jak je zgłębić?

Rebeka. Nie wierzysz mi, Rosmerze?

Rosmer. O, Rebeko, — jakże ja mogę w zupełności polegać na tobie? Na tobie, co tak wiele ukrywałaś i osłaniałaś tajemnicą! — Teraz wyjawiasz nowe zdanie. Jeśli w niem tkwi jaki zamiar — powiesz mi otwarcie. Cokolwiek byś osiągnąć chciała. Ja przecież wszystko chętnie według możliwości dla ciebie uczynię.

Rebeka załamując ręce. O, te zabijające zwątpienia—! Rosmerze — Rosmerze!

Rosmer. Tak, czyż to nie rzecz straszna? Ale nie na to poradzić nie mogę. Nigdy nie potrafię ustrzedz się zwątpienia. Nigdy nie będę wiedział na pewno, że ty jesteś moją w całkowitej i czystej miłości.

Rebeka. Czyż jednak nic w głębi twojej duszy nie wskazuje ci, że we mnie dokonała się przemiana. I że ta zmiana przez ciebie tylko się dokonała. Przez ciebie jedynie!

Rosmer. O, ja już nie wierzę w moją zdolność do przemieniania ludzi. Nie wierzę w ciebie pod żadnym względem. Nie wierzę ani w siebie ani w ciebie.

Rebeka patrząc na niego ponuro. Jakże więc chcesz żyć dalej?

Rosmer. Sam tego nie wiem i nie pojmuję. Zdaje mi się, że żyć już nie potrafię. I nie znam na całym szerokim świecie nic takiego, dłaczegoby żyć warto.

Rebeka. Życie samo przez się odradza. Tego się trzymać powinniśmy. A wtedy możemy jeszcze wybrnąć.

Rosmer zrywając się niespokojnie. A więc wróć mi mą wiarę! Wiare w ciebie, Rebeko. Wiare w twą miłość. Dowodu, dowodu ja chcę od ciebie!

Rebeka. Dowodu? W jakiż sposób dać ci go mogę—!

Rosmer. Musisz! Chodząc tam i napowrót. Ja tej ponurej, — tej strasznej pustki nie zniosę, — nie — nie — Ktoś puka silnie do przedpokoju.

Rebeka zrywając się z krzesła. Słyszałeś? otwiera drzwi. Wchodzi Ulryk Brendel. Ma na sobie nprasowaną koszulę, czarny surdut i nowe, wysokie buty. Zresztą tak samo ubrany jak w akcie pierwszym. Jest bardzo pomieszany.

Rosmer. A to pan, panie Brendel!

Brendel. Janie, dziecko moje, — żegnam cię — bądź zdrow!

Rosmer. Gdzie pan chcesz się udać o tak późnej porze?

Brendel. Muszę zejść do podnóża góry.

Rosmer. Jakto?

Brendel. Wracam teraz do domu, mój drogi chłopcze. Czuję tęsknotę za wielką nicością.

Rosmer. Czy się co panu stało, panie Brendel?

Brendel. A więc dostrzegłeś zmianę? Tak — musiałeś ją dostrzedz. Kiedy po raz ostatni byłem w tej sali, stałem przed tobą jako człowiek zamożny i uderzałem się po moim portfelu.

Rosmer. Tak. Ale nie rozumiem...

Brendel. Teraz zaś jestem jak król z tronu złożony na pogorzeli swego spalonego zamku.

Rosmer. Jeżeli czemkolwiek panu służyć i pomóc mogę...

Brendel. Zachowałeś twe dziecięce serce, mój Janie. Możesz mi udzielić pożyczki.

Rosmer. Owszem, jak najchętniej.

Brendel. Możesz przez rok lub dwa obejść się bez ideałów?

Rosmer. Bez czego się mam obejść?

Brendel. Bez kilku znoszonych już ideałów. Popełnisz w ten sposób dobry uczynek. Bo ja już teraz nie mam nic więcej. Zupełnie jestem ogołocony.

Rebeka. Czy pan nie zamierzałeś mieć od-czyty?

Brendel. Nie, uroczą, pełną wdzięku, damo. I cóż pani na to? Właśnie kiedy byłem gotów róg obfitości wypróżnić, zrobiłem przykre odkry-cie, że jestem bankrutem.

Rebeka. A pańskie niewydane, nienapisane dzieła?

Brendel. Przez 25 lat siedziałem jak skąpiec przed zamkniętą kasą. A wczoraj... gdy ją otwo-rzyłem, by skarb wydobyć, nie znalazłem już niczego. Ząb czasu stał go na proch. Stał się nicością bez śladu.

Rosmer. Czy pan wie to napewno?

Brendel. Tu niema miejsca na wątpliwości, mój drogi. Prezydent mię przekonał.

Rosmer. Prezydent?

Brendel. No, tak — albo ekscelencya, jeśli państwo sobie życzą.

Rosmer. Do kogo to się odnosi?

Brendel. Do Piotra Mortensgarda naturalnie.

Rosmer. Jakto?

Brondel tajemniczo. Pst, pst, pst! Piotr Mortensgard jest wodzem i panem przyszłości. Nigdy nie stałem jeszcze przed obliczem równie wielkiego człowieka. Piotr Mortensgard ma w sobie potęgę wszechmocy. Dokona on wszystkiego, co zechce.

Rosmer. O, nie wierz pan temu!

Brendel. Tak, tak, mój chłopcze! Bo Piotr Mortensgard nigdy więcej nie chce jak może. Piotr Mortensgard zdolny jest żyć bez ideałów. A to, widzisz, jest właśnie wielką tajemnicą działania i zwyciężania. W tem się streszcza cała mądrość świata, i basta.

Rosmer cicho. Rozumiem teraz, że pan uboższym odchodzisz, niżej przyszedł.

Brendel. *Bien!* Weź sobie przykład z twego starego nauczyciela. Wymaż wszystko, co on w ciebie wpoić usiłował. Nie stawiaj twego domu na lotnym piasku. Strzeż się i pilnie rozważ, zanim oprzesz się na nadobnem stworzeniu, które ci życie upiększa.

Rebeka. Czy to się do mnie odnosi?

Brendel. Tak, uroczą syreno.

Rebeka. Dlaczegoż na mnie oprzeć się nie można?

Brendel przystępując bliżej. Pozwoliłem sobie powiedzieć, że mój dawny uczeń chce sprawie społecznej do zwycięstwa dopomódz.

Rebeka. No a teraz?

Brendel. Zwycięstwo jest pewne. Ale — proszę dobrze uważać — pod jednym niewzruszalnym warunkiem.

Rebeka. Pod jakim?

Brendel biorąc ją łagodnie za rękę. Kobieta, która go kocha, powinna z własnej woli iść do kuchni i tam swoje małe delikatne, różowe paluszki poparzyć, — o tu, w samym środku. *I tem* ta sama, kochająca kobieta powinna sobie odciąć swoje wspaniałe lewe ucho. Puszcza jej ręce i zwraca się do Rosmera. Bądź zdrów, mój zwyciężający Janie.

Rosmer. Teraz chcesz pan odejść? W ciemną noc?

Brendel. W ciemnej nocy najlepiej. Pokój z wami. Wychodzi. Przez kilka chwil panuje w pokoju głębokie milczenie.

Rebeka ciężko oddychając. O, jak tu duszno i ciężko! Idzie do okna, otwiera je i wchłania powietrze.

Rosmer upada na fotel koło pieca. Nie ma innego wyjścia, Rebeko. Widzę, że ty musisz odjechać.

Rebeka. Tak, nie mam wyboru.

Rosmer. Pozwól, byśmy skorzystali z chwil ostatnich. Pójdź, usiądź przy mnie.

Rebeka siadając na sofie. Co chcesz mi powiedzieć, Rosmerze?

Rosmer. Przedewszystkiem chcę ci powiedzieć, że nie potrzebujesz troskać się o swą przyszłość.

Rebeka uśmiechając się blade. O mą przyszłość.

Rosmer. Przewidziałem wszystko od dawna. Cokolwiekby się stało, obmyśliłem wszystko.

Rebeka. I o tem pamiętałeś, najdroższy!

Rosmer. Powinnaś była przecież to przypuszczać.

Rebeka. Lata i dni mijały, a ja o tem nie myślałam.

Rosmer. Tak, sądziłaś zapewne, że zawsze tak zostanie, jak jest.

Rebeka. Tak myślałam.

Rosmer. Ja także. Kiedy mię jednak teraz odwołują...

Rebeka. Ah, Rosmerze, — ty przecież dłużej żyć będziesz odemnie.

Rosmer. Mojem nędznem życiem sam przecież będę mógł rozporządzić.

Rebeka. Co to ma znaczyć? Nie myślisz przecież o—!

Rosmer. Uważałabyś to za rzecz tak szczególną? Po haniebnej porażce, jaką poniosłem! Ja, który chciałem mej życiowej sprawie do zwycięstwa doprowadzić. A teraz jestem zbiegiem z szeregów, jeszcze przed rozpoczęciem bitwy!

Rebeka. Stań napowrót do walki, Rosmerze! Zobaczysz, że zwyciężysz — jeżeli tylko spróbujesz. Uszlachetnisz setki — tysiące dusz ludzkich. Tylko popróbuj.

Rosmer. Rebeko, ja nie wierzę już w mój własny ideał życiowy!

Rebeka. Ależ ideał twój przeszedł już ognio-
wą próbę. Jedno przynajmniej stworzenie uszla-
chetniłeś. Mnie, na całe życie.

Rosmer. O, gdybym ci mógł wierzyć.

Rebeka załamując ręce. Rosmerze, czy nie przy-
chodzi ci na myśl coś, coś takiego — coby
wzbudziło napowrót twą wiarę?

Rosmer przerażony z trwogą. Nie poruszaj tej
kwestyi! Nie rozbieraj jej bliżej, Rebeko! Ani
słowa już o tem.

Rebeka. Właśnie my musimy bliżej się nad
tem zastanowić. Czy znasz jaki środek, któryby
twoje wątpliwości mógł usunąć? Ja już nie znam
żadnego.

Rosmer. Twoje szczęście, że nie znasz. Szczę-
ście dla nas obojga.

Rebeka. Nie, nie, nie — tem mnie nie uspo-
koisz! Jeżeli wiesz coś takiego, coby mię w twoich
oczach usprawiedliwić nie mogło, żądam, abys
to powiedział.

Rosmer niechętnie. A więc zastanówmy się.
Mówisz, że jest w tobie wielka miłość. Że ja
uszlachetniłem twą duszę. Czy tak jest w rze-
czy samej? Czy wszystko dobrze obliczyłaś?
Czy możemy rachunek ten sprawdzić?

Rebeka. Jestem gotową.

Rosmer. Kiedy?

Rebeka. Kiedy zechcesz. Im wcześniej, tem
lepiej.

Rosmer. Więc powiedz mi, Rebeko, — czy z miłości dla mnie, dziś wieczorem jeszcze — przerywa. O, nie, nie, nie!

Rebeka. Powiedz, Rosmerze! Powiedz a przekonasz się.

Rosmer. Czy masz odwagę — czy chciała-bys — z własnej woli, jak Ulryk Brendel powiada — z miłości dla mnie — z własnej woli — pójść tą drogą — którą poszła Beata?

Rebeka wstaje powoli, mówi prawie bezdźwięcznie. Rosmerze!

Rosmer. Tak, — oto pytanie, które zawsze myśl mą niepokoić będzie, gdy ty wyjedziesz. Każdej godziny przypominać je sobie będę. Zdaje mi się, że widzę cię żywą, przed sobą. Stoisz na środku kładki. Teraz przechylasz się przez poręcz! Jednym rzutem staczasz się w głębie! — Nie. Ty się cofasz. Nie masz odwagi — którą ona miała.

Rebeka. A gdybym jednak miała odwagę? I dobrą wolę? Co wtedy?

Rosmer. Wtedy musiałbym ci uwierzyć. Wtedy odzyskałbym także wiarę w moje życiowe zadanie. Wiarę w zdolność uszlachetniania dusz ludzkich. Wiarę, że dusza ludzka uszlachetnić się da.

Rebeka bierze powoli chustkę, zarzuca ją na głowę i mówi stanowczym głosem. Wiarę tę odzyskasz.

Rosmer. Rebeko, czy masz taką odwagę i wolę?

Rebeka. Przekonasz się o tem jutro — lub wtedy, gdy mię z wody wydobędą.

Rosmer do siebie, przesuując ręką po czole. Jest w tem pełne grozy piękno!

Rebeka. Bo ja tam na dole zostać nie chcę. Musisz się postarać o to, by mię wydobyto.

Rosmer zrywając się. Ależ to wszystko jest szaleństwem! Wyjedź lub zostań. I tym razem uwierzę ci na słowo.

Rebeka. Próżny to frazes, Rosmerze! Dość już tchórzostwa i wykrętów! Jakże możesz po tym dniu wierzyć mym słowom?

Rosmer. Nie chcę widzieć twej zagłady!

Rebeka. Nie będzie zagłady.

Rosmer. Będzie nią właśnie. Ty nie jesteś z tych, któreby drogą Beaty iść mogły.

Rebeka. Tak sądzisz?

Rosmer. Nigdy tego nie zrobisz. Nie jesteś taką jak Beata. Nie podlegasz potędze fałszywego na życie poglądu.

Rebeka. Ale podlegam teraz potędze poglądu Rosmerów. Należy się, bym za me przestępstwa odpokutowała.

Rosmer nagle spogląda na nią. Więc aż tam doszłaś?

Rebeka. Tak.

Rosmer stanowczo. Więc dobrze. Ja zaś podlegam potędze naszego wyzwolonego poglądu życiowego, Rebeko. Niema sędziego nad nami.

I dla tego sami musimy się postarać o wymiar sprawiedliwości.

Rebeka nie rozumiejąc znaczenia słów jego. Tak, tak. Śmierć moja wyzwoli najlepsze i największe zalety twojej duszy.

Rosmer. We mnie nic już wyzwalać nie trzeba.

Rebeka. A jednak. Ale ja — ja odtąd niczem więcej nie byłabym jak złym morskim upiorem, który okręt, co cię w dal ma powieść, zatrzymuje. Albo może mam wlec za sobą zmarnowane me życie? Ślęczyć i rozmyślać nad szczęściem, które za przeszłość moją sprzedałam? Muszę się wycofać, Rosmerze.

Rosmer. Jeśli ty pójdziesz — ja pójdę z tobą.

Rebeka z nieznacznym uśmiechem patrzy na niego, pocichu. Tak pójdz. Powinieneś być świadkiem...

Rosmer. Pójdę z tobą, powtarzam.

Rebeka. Tak, aż do kładki. Na nią przecież nigdy wejść się nie odważyłeś.

Rosmer. Spostrzegłeś to?

Rebeka smutno, jakby złamana. Tak; i przeto miłość ma stała się beznadziejną.

Rosmer. Rebeko, — oto rękę mą na twojej głowie kładę. I czynię cię prawowitą moją małżonką.

Rebeka bierze obiedwie jego ręce i pochyła głowę na jego piersi. Dzięki ci. Puszczaając go. A teraz idę — z dobrą wolą.

Rosmer. Mąż i żona razem iść muszą.

Rebeka. Tylko do kładki.

Rosmer. I dalej jeszcze. Pójdę tak daleko, jak ty. Teraz mi wolno.

Rebeka. Czy masz niezłomną pewność, że ta droga jest dla ciebie najlepszą?

Rosmer. Wiem, że jest jedyną.

Rebeka. A gdybyś się mylił? Gdyby to było błędem? Jednym z tych białych koni Rosmersholmu?

Rosmer. Choćby i tak. Przed nimi nie ujdziemy, my jego mieszkańcy.

Rebeka. Więc zostań, Rosmerze!

Rosmer. Mąż żonie swej towarzyszyć musi a żona mężowi.

Rebeka. Tak, ale przedtem jedno mi powiedz jeszcze. Czy ty idziesz ze mną, czy ja z tobą?

Rosmer. Na to pytanie nigdy nie znajdziemy odpowiedzi.

Rebeka. A jednak tak bym ją słyszeć pragnęła.

Rosmer. Razem idziemy, Rebeko. Ja z tobą i ty ze mną.

Rebeka. I tak jest dobrze.

Rosmer. Bo teraz jednym jesteśmy.

Rebeka. Tak, teraz jednym jesteśmy. Pójdź! Idziemy z dobrą wolą. Trzymając się za ręce wychodzą z przedpokoju, później widać, jak skręcają na lewo. Drzwi zostają otwarte. Scena przez chwilę jest pusta, później pani Helseth otwiera drzwi z prawej strony.

P. Helseth. Proszę pani — powóz zajechał. Rozglądając się. Niema ich w pokoju? Wyszli ra-

zem o tej godzinie? No, no — naprawdę! Hm! Zagląda do przedpokoju i wraca. Na ławce także ich niema. Idzie do okna i wygląda. Jezu, tak! Biały koń! Stoją oboje razem na kładce! Niech Bóg zmiłuje się nad nimi! Oplatają się wzajemnym uściskiem! Z głośnym przeraźliwym okrzykiem. Ah! Skoczyli — oboje! Do potoku! Pomocy! Ratunku! Chwyta się drżąc cała za krzesło i mówi z wysiłkiem. Nie. Tu niema ratunku. Nieboszczka ich zabrała.

K O N I E C.

Biblioteka WSP Kielce



0143905